Cena pojed. egz. 40 groszy

Demokrata

ORGAN · NARODOWO · SPOŁECZNEGO · RUCHU · MŁODYCH

Nr. 9-10 Toruń, sierpień-wrzesień 1935 Rok I

ZYGMUNT FELCZAK

Gasnącemu światu

Trzej byli ministrowie: Chądzyński, Jankowski i Pepłowski oraz b. prezes klubu parlamentarnego N. P. R. Faustyniak w oświadczeniach, rozesłanych do prasy, swe ustąpienie z Narodowej Partji Robotniczej motywują m. in. tem, że młodzi członkowie partji, zgrupowani w Związku Młodzieży Pracującej „Jedność“ „zwalczali ich w sposób nikczemny“ oraz tak obrzydzali pobyt w stronnictwie, że oni, jak sami o sobie twierdzą, „zasłużeni założyciele i twórcy partji“ nie mogli wytrzymać w tej atmosferze.

„Biedne ofiary“ prześladowań młodych nie powiedziały atoli, co było przyczyną tych ataków i dlaczego to do nich młodzi odnosili się z wielką rezerwą i nie mieli zaufania.

Musimy zatem wyręczyć ich i podać tutaj te powody, nie dlatego bynajmniej, abyśmy brali na serjo tę „literaturę“, ale, aby przy tej okazji rzucić trochę światła na problem „starych“ i „młodych“ w Narodowym Ruchu Robotniczym. Na wstępie tych rozważań — uwaga ogólna — nieprawdą jest, że młodzi zwalczali starych „w sposób nikczemny“, natomiast prawdą jest, że w stosunku do *niektórych* starych, w szczególności do wymienionych na wstępie członkowie „Jedności“ ze względów *zasadniczych, a nie osobistych* odnosili się bardzo krytycznie i pod ich adresem wypowiadali niejednokrotnie gorzkie słowa prawdy. Krytyczny stosunek do najwyższych dygnitarzy partyjnych nie jest, według nas, nietylko „nikczemnością“, ale naturalnym obowiązkiem członka stronnictwa, chyba, że się stoi na stanowisku absolutnej nietykalności poselskiej i wychodzi z założenia, że wysokie stanowiska w partji są dożywotnie.

Również nieprawdą jest, żeśmy „ubijali starych i zasłużonych“ działaczy na konferencjach okręgowych i Kongresie, natomiast prawdą jest, że dążąc nietyle do *odmłodzenia ile odrodzenia* Narodowego Obozu Pracy, tych „starych“, którzy okazali się nierobami, oportunistami, niedołęgami i wogóle trutniami nie wybieraliśmy do władz partyjnych, bo to byłoby sprzeczne z naszym pojmowaniem roli kierowników ruchu społecznego.

Co nas szczególnie bolało u tych, którzy odeszli? W pierwszym rzędzie — nieróbstwo. Kontakt z wyborcami i dołami — żaden, starań o ideologiczne pogłębienie Ruchu — żadnych, („Demokratę“, pierwszy miesięcznik teoretyczno-programowy Narodowego Ruchu Robotniczego, powołali do życia młodzi, bez najmniejszego współudziału b. panów ministrów i członków Klubu Parlamentarnego) reprezentowanie na terenie parlamentarnym z małemi wyjątkami — kompromitujące. Najlepszym dowodem są ostatnie sesje sejmowe: budżetowa i nadzwyczajna ,na których B. B. przeprowadzał swą konstytucję i ordynacje wyborcze. Według nas, po tem, w jaki sposób BB. „przeprowadził“ konstytucję, należało wyjść ze sejmu i rozpocząć szeroko zakrojoną akcję uświadamiającą w masach. Nie byliście panowie zdolni do tego, bo nie uśmiechało się Wam porzucenie wygodnego i próżniaczego życia z mandatu poselskiego. Opozycja, którą robiliście na terenie sejmu — była *papierową i wcale „nieszkodliwą“*, szczerze mówiąc, myśmy odetchnęli, kiedy wreszcie czwarty Sejm rozwiązano, bo skończyło się to upakarzające widowisko. I całe szczeście, że p. Sławek taką, a nie inną ordynacją kraj uszczęśliwił, bo przy demokratycznych ordynacjach musielibyśmy „dla świętej zgody“ iść do wyborów i „robić“ mandaty, dla Faustyniaków, Chądzyńskich, Pepłowskich, poto jedynie, aby ci panowie jeździli pierwszą klasą i na każdego pierwszego brali djety. Podziękowanie, a jak dobrze pójdzie to może i pomnik wybudujemy p. Sławkowi za to, że on jedyny nie zwątpił w siły opozycji i umożliwił oczyszczenie stronnictw polskich z przekleństwa zawodowego i dożywotniego posła.

Z powyższem łączy się sprawa ofiarności dla partji. Doły stronnictwa dawały i dają ciągle wzru-

szające dowody poświęcenia i wierności. Nie do rzadkości wcale należą robotnicy, ojcowie licznych rodzin, którzy woleli stracić pracę i chleb, niż wystąpić z N. P. R. a wstąpić do B. B. W. R. czy Strzelca, albo ten bezrobotny prezes placówki z zapadłego prowincjonalnego kąta, który nie mając pieniędzy na kolej o suchej kromce chleba 130 km. przejechał rowerem na swój zjazd wojewódzki.

Zestawcie te fakty z waszą „ofiarnością“ panowie ministrowie i parlamentarzyści i porównajcie! Wyście panowie nawet fundusz wyborczy stronnictwa, powstały ze składek poselskich i senatorskich przy końcu kadencji piątego Sejmu uchwalili rozebrać między siebie (wypadło po blizko 2 500 zł na głowę poselską i senatorską!).

A kompletny zanik ducha walki, który winien cechować przewódców stronnictwa *robotniczego, stojącego w zasadniczej opozycji* do systemu rządzącego? Mieliśmy nad tem spokojnie przechodzić do porządku dziennego? Mieliśmy nie widzieć tego, że partja *pod Waszemi rządami* zamieniała się stopniowo w towarzystwo wzajemnej adoracji i związek dla zdobywania mandatów?

Pod względem dążeń społecznych „zasłużeni“ twórcy i „założyciele“ N P. R. stali na prawicy dalej od starych endeków, nie mówiąc już o młodych z b. O. W. P. Najlepszym dowodem jest tutaj opracowany przez p. Chądzyńskiego w *roku 1934* projekt programu, w którym autor m. in. staje na stanowisku bezwzględnej własności prywatnej.

Konserwa, konserwa i jeszcze raz konserwa. Do pana Cata Mackiewicza z wileńskiego „Słowa“ z takim projektem i takimi „wodzami“ robotniczej partji.

To byłyby z grubsza te *zasadnicze* powody, dla których młodzi z „Jedności“ takie zajęli stanowisko wobec pp. Chądzyńskich i Faustyniaków. Że ten stosunek nie zrodził się na tle jakiejś obłędnej nienawiści „młodych“ do „starych“ najlepszym dowodem jest m. in. to, że nie do wszystkich t. zw. starych młodzi się w ten sposób odnosili. Stwierdzają to sami odstępcy w swych oświadczeniach i nawet mają nam za złe, żeśmy stanęli przy Popielu, Dr. Michejdzie i innych. Dziwna pretensja! Mieliśmy za swego patrona wybrać b. ministra Pepłowskiego, tego z nieprzdziwego zdarzenia członka *narodowej i robotniczej* partji, wysługującego się łódzkim żydom i właściciela majętności Zielona w pow. mławskim, gdzie robotników się gnębi i nie wypłaca regularnie zarobków?

Miałże być naszym ideałem p. Chądzyński, który w maju 1926, jako ówczesny minister kolei przez swe niedołęstwo i niezdecydowanie walnie przyczynił się do zwycięstwa, robiących zamach, a który uciekł z otoczenia b. prezydenta Wojciechowskiego, kiedy ten wraz z członkami rządu szedł z Belwederu do Wilanowa i skrył się u krawcowej swej żony na ul. Rozbrat?

A może za wzór do naśladowania dla młodych panowie chcieliby pasować p. Faustyniaka, który tak ukochał mandat poselski, że aby go dostać przeszedł do porządku nad zasadami, które całe życie głosił i własnym honorem?

A może „wodzami naszymi“ i „wychowawcami“ mają być ci, którzy wygniatają kanapy w zacisznych gabinetach wojewodów i starostów i z tych gabinetów kierują ruchem robotniczym?

To, że drogi nasze i Popiela się zeszły jest kwestją szczęśliwego przypadku. Popiel bowiem w naszych oczach to zawsze *więzień brzeski*, symbol nieprzejednanego i bezkompromisowego stanowiska wobec reżimu sanacyjnego i przedmiot nieustannych i ohydnych ataków sanacyjnych od r. 1926. Im go bardziej zwalczają, tem my mocniej przy Nim stoimy. Ten stosunek nasz do Niego jest szczery, niema w nim cienia lokajstwa, bezkrytycznego wysługiwania się i zimnego wyrachowania. Kto to inaczej ocenia wyrządza świadomie moralną krzywdę nam i Jemu oraz ocenia ludzi według swojej miary.

* * *

Syntezując to wszystko, stwierdzam, że antagonizm między „młodymi“ a „starymi“ w Narodowym Ruchu Robotniczym wyrósł na tle buntu młodych przeciwko nieróbstwu, oportunizmowi i niedołęstwu tych starych, którzy do Kongresu N P. R. odbytego w 1934 r. w Toruniu nadawali ton Narodowej Partji Robotniczej. Ludźmi tymi byli panowie: Chądzyński, Jankowski, Faustyniak, Leśniewski, Grajek, Mańkowski i Pepłowski.

Ten bunt młodych pozatem to reakcja zrodzona pod wpływem *ofiarnych, radykalnych i bezkompromisowych dołów Narodowego Ruchu Robotniczego* przeciw egoistycznej, reakcyjnej i „mydlkującej“ górze — której wyżej wymienieni byli klasycznemi reprezentantami.

Gdy odchodzą — płakać po nich nie będziemy. Widzimy w nich bowiem *gasnący świat* i szkodliwe hamulce w rozwoju wielkiego, bohaterskiego i całą Polskę obejmującego Narodowego Obozu Pracy.

JERZY AUGUSTOWSKI

Nowa konstytucja i nowa ordynacja wyborcza do Sejmu i Senatu

Nie mam zamiaru rozwodzić się szeroko o nowej konstytucji z dnia 23 kwietnia 1935 roku, a to dlatego, że: 1) prasa codzienna omawiała ją już obszernie; 2) podlegała ona zasłużonej krytyce w naszych ciałach ustawodawczych ze strony posłów opozycyjnych; 3) jest skazana na krótkotrwałe istnienie, ze względu na to, że nie odpowiada zupełnie potrzebom Państwa i Narodu i nawet przez samych twórców określona została jako... eksperyment... Z tych też względów, ograniczę się z konieczności do zasadniczych jej artykułów, na których opiera się cała jej konstrukcja.

Jaki cel jest każdej konstytucji? *Zadaniem jej jest ścisłe określenie kompetencyj rozmaitych władz, zapewnienie ustawom dokładnego ich wy-*

konywania, unormowanie rzeczywistej kontroli administracji, wreszcie zapewnienie obywatelom państwa, za pośrednictwem ich przedstawicieli, nietylko pewnego nieokreślonego, albo fikcyjnego wpływu na ustawodawstwo i rząd, lecz możności decydowania o losach kraju i społeczeństwa, a to dlatego, że państwo istnieje dla społeczeństwa, a nie ono dla państwa.

Takiem jest kryterjum konstytucji u narodów cywilizowanych, które świadomie kształtują ustrój swego państwa, nie podlegając sztucznemu naciskowi z zewnątrz, czy to osób, które chwilowo zdobyły siłą władzę, w warunkach anormalnych, czy też jawnej dyktatury wojskowej. Wywodowi temu nie przeczy bynajmniej fakt, że w Niemczech, Włoszech, że tu pomijam już państwa inne, konstytucje nie odpowiadają powyższemu kryterjum. *Niemcy, skutkiem całej swojej przeszłości politycznej są narodem, który obok wielkich przymiotów, ujawniających się w zdumiewających zdolnościach organizacyjnych i naukowych, od wieków odznaczał się skłonnościami serwilistycznemi wobec swych władców.* Okoliczności historyczne tak się bowiem złożyły, że wyrobiły w nim tę cechę. *Co zaś do Włochów, którzy wcale nie są, jak się zdaje Mussoliniemu i wielu innym, potomkami Rzymian, gdyż ci rozproszyli się po całem terytorjum starego Imperjum, lecz pochodzą od mieszaniny rozmaitych plemion i narodów, — to dzieje ich, poza krótkim okresem w średniowieczu, w którym miasta ich, będące państwami, rządzone były, do pewnego stopnia, wolnościowo, przedstawiają smutny obraz okropnego ucisku ze strony rozmaitych małych i dużych tyranów i despotów, swoich i obcych.*

Nic więc dziwnego, że w takich państwach powstały i trwają jeszcze ustroje tak anormalne, *których ujemnych stron nie obroni żadna, tania zresztą, frazeologja nacjonalistyczna, ich kół rządowych i jawnych oraz tajnych zwolenników zagranicznych, którzy pragnęliby, aby w ich państwach powstał ustrój podobny, umożliwiający im łatwe rządy, bez kontroli, dające władzę całkowitą, potężne środki materjalne i zaszczyty, utrudniający wszelkie zmiany polityczne.*

I

Nowa konstytucja polska odrzuca podział władz, skupiając je wszystkie w osobie Prezydenta Rzeczypospolitej. Nie będę tu powtarzał tego, co już pisałem w „Demokracie" na korzyść tego podziału. Czytelnicy zechcą przypomnieć sobie odpowiednie artykuły np. artykuł p. t. „Absolutyzm i liberalizm" w Nr. 4 na str. 2, w 2-giej szpalcie, w którym jest krótki ustęp o potrzebie podziału władz.

Może niejeden z czytelników posądzi mię o przesadę, na tej podstawie, że konstytucja ta zachowuje przecież Sejm i Senat, jako organy władzy ustawodawczej. Otóż zobaczymy jak się to przedstawia w rzeczywistości.

Ustęp 2 art. 2 mówi wyraźnie o Prezydencie: „na nim spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historji".

Wprawdzie we wszystkich prawie konstytucjach głowa państwa nie jest politycznie odpowiedzialną przed żadnem ciałem, czy to ustawodawczem, czy sądowem; ale tam za to żaden akt jej nie jest prawomocny bez kontrasygnaty jakiegoś ministra, który za nią odpowiada. *Nowa polska konstytucja uznała Prezydenta za nieodpowiedzialnego, ale zarazem uwolniła go w szeregu ważnych wypadków od konstratygnacji jego dekretów, za które więc nikt prawnie odpowiedzialnym nie jest.*

Są to więc jego osobiste prerogatywy, a należą do nich: a) wskazywanie jednego z kandydatów na Prezydenta (przyszłego przyp. aut.) i zarządzenie głosowania powszechnego (w razie jeżeli jego kandydat innym jest od wybranego przez specjalne kolegjum o czem niżej przyp. aut.); b) wyznaczenie na czas wojny następcy Prezydenta Rzeczypospolitej; c) mianowanie i odwoływanie Prezesa Rady Ministrów, Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego i Prezesa Najwyższej Izby Kontroli; d) mianowania i zwalniania Naczelnego Wodza i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych; e) powołania sędziów Trybunału Stanu; f) powołania senatorów piastujących mandat z wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej; g) mianowania i zwalniania szefa Kancelarji Cywilnej; h) rozwiązania Sejmu i Senatu przed upływem kadencji; i) oddania członków Rządu pod Trybunał Stanu; j) stosowanie prawa łaski.

Na wszystkie te atrybucje, za wyjątkiem wymienionej przy literach a, b i f można się zgodzić *z tem jednak zastrzeżeniem, że powinny one być kontrasygnowane przez odpowiedniego ministra.* Innemi słowy wszystkie akty Prezydenta winny być kontrasygnowane, gdyż w Państwie dobrze urządzonem nie powinno być żadnego aktu, za który nikt odpowiedzialnym nie jest. A już w żadnym razie usprawiedliwionem nie jest, aby, nawet przy kontrasygnacji ministra Prezydent wyznaczał kandydata na przyszłego Prezydenta, na swego zastępcę, w czasie wojny, albo mianował członków Senatu w liczbie $^1/_3$.

Jeżeli Prezydent ma prawo wyznaczać jednego z kandydatów na przyszłego Prezydenta, to daje mu ono już bardzo duży wpływ na czasy poza jego urzędowaniem; *co jest w sprzeczności z władzą jego na określony przeciąg czasu. Również wyznaczanie sobie następcy na czas wojny nie jest uzasadnionem z tego samego względu.*

Prawo rozwiązywania ciał ustawodawczych dane Prezydentowi, *ale pod warunkiem kontrasygnacji ministra, jest racjonalne i natomiast bez niej szkodliwe, gdyż oddaje losy tych ciał na łaskę i nie łaskę Prezydenta, za co nikt nie ponosi odpowiedzialności.*

Ponieważ Prezydent może w każdej chwili, własną tylko, wolą, rozwiązać Sejm i Senat, a w czasie kiedy ciała nie są czynne ma prawo wydawania dekretów z mocą ustawy, z wyjątkiem zmiany konstytucji, ordynacji wyborczej do ciał ustawodawczych, budżetu, nakładania podatków, ustanowienia monopoli, systemu monetarnego, zaciągania pożyczek państwowych, zbywania i obciążania majątku nieruchomego majątku państwowego, wartości ponad 100 000 zł — *więc może np. zmienić ustrój sądownictwa, kodeks karny i cywilny, nadać rozległe prawa administracji itp. Prócz tego jeszcze Prezydent Rzeczypospolitej może na podstawie ustawy specjalnej uzyskać prawo wydawania dekretów z mocą ustawy, we wszystkich sprawach prócz zmiany konstytucji art. 55.* Prezydent ma też prawo veta, w stosunku do ciał ustawodawczych, (art. 54). Jeżeli one jednak powezmą ponownie uchwałę w tem samem brzmieniu, *ale już na następnej sesji zwyczajnej i to, nie zwykłą, lecz ustawową większością głosów tzn. przynajmniej $^1/_2$ plus 1 głosów Sejmu i Senatu,*

to dopiero wówczas projekt ustawy uchwalony w ten sposób staje się ustawą. Aby jednak uzależnić ustawodawstwo od Prezydenta, konstytucja daje mu prawo mianowania $^1/_3$ członków Senatu i jedynie na czas trwania danego kompletu posłów i senatorów, ponieważ konstytucja nic nie mówi o dożywotności tych senatorów.

Otóż w państwach monarchistycznych często panujący miał prawo mianowania pewnej liczby członków izb wyższych, albo nawet wszystkich, ale wówczas byli oni dożywotnymi. Nowa konstytucja polska rozstrzyga tę sprawę inaczej.

Otóż oczywiście wogóle stwarzanie pewnej ilości senatorów z nominacji nie jest wskazane, gdyż ciała ustawodawcze winny reprezentować opinję kół społecznych, a nie Prezydenta, czy rządu; ale jeżeli już głowa Państwa ma mieć prawo nominacji części Senatu, to powoływanie senatorów dożywotnich byłoby złem mniejszem, niż mianowanie ich na lat 5; bowiem senator zawdzięczający nawet swój mandat Prezydentowi, gdy jest dożywotnim, staje się niezależnym, jeżeli zaś zasiadać ma czasowo, to staje się, a przynajmniej stać się może łatwo posłusznym tylko woli głowy państwa, chcąc być ponownie nominowanym.

Zasada jednak dożywotności senatorów w Republice jest niedopuszczalną, gdyż jeżeli najwyższy piastun władzy dożywotnim nie jest, to tembardziej nie powinien nim być senator. Widzimy więc, że wogóle nominacja chociażby części senatorów przez Prezydenta właściwą nie jest.

Prezydent, wedle nowej konstytucji może, o ile zechce, sparaliżować całkowicie działalność ciał ustawodawczych, zarówno przez prawo veta, przy wyżej wskazanych warunkach, jak również przez mianowanie czasowe $^1/_3$ senatorów, pozyskanie bowiem jeszcze innych aby była $^1/_2$ nie jest trudnem. Jeżeli chodzi o stosunek rządu do ciał ustawodawczych, to nowa konstytucja daje mu przewagę faktyczną nad niemi, pomimo pozorów odpowiedzialności politycznej ministrów przed Sejmem i Senatem.

Art. 50 zapewnia rządowi wyłączną inicjatywę w sprawie budżetu, kontyngentu rekruta i ratyfikacji umów międzynarodowych w ustępie 2; ustęp trzeci zaś tegoż art. brzmi: *„Sejm nie może bez zgody Rządu uchwalić ustawy, pociągającej za sobą wydatki ze strony państwa, dla których nie ma pokrycia w budżecie". Cały ten artykuł, wiąże całkowicie ręce Sejmowi, gdyż każda inicjatywa jego, o ile ma jakieś znaczenie, czy to w dziedzinie administracji, czy też w sprawach gospodarczych, a zwłaszcza każda szersza reforma musi pociągać za sobą wydatki, skoro więc inicjatywa dotycząca budżetu należy tylko do rządu, i skoro nie można powziąść żadnej uchwały, pociągającej za sobą wydatki, na które niema pokrycia w budżecie, to temsamem nie można niczego dokonać, pomijając rozmaite sprawy drobniejsze. Co najwyżej można tylko proponować zmiany w rozkładzie sum wprowadzonych do budżetu, albo je zmniejszyć i przeznaczyć na co innego. Ale może ktoś powiedzieć, że przecież ciała ustawodawcze mogą usunąć rząd. Otóż teoretycznie tak, praktycznie jednak jest to prawie niemożliwe.*

Art. 29 w ust. 1 brzmi: „Sejm, w wykonywaniu prawa kontroli parlamentarnej nad działalnością rządu, może zażądać ustąpienia rządu i ministra"; ustęp 2 „wniosek taki może być zgłoszony tylko podczas sesji zwyczajnej, a głosowanie nad nim nie może się odbyć na posiedzeniu, podczas którego został zgłoszony"; art. 3 „jeżeli za wnioskiem wypowie się Sejm, zwykłą większością głosów, a Prezydent Rzeczypospolitej w ciągu trzech dni nie odwoła rządu, lub ministra, ani też Izb Ustawodawczych nie rozwiąże wniosek będzie rozpatrzony w Senacie w najbliższem posiedzeniu"; artykuł 4 „jeżeli Senat wypowie się za wnioskiem uchwalonym przez Sejm — Prezydent Rzeczypospolitej odwoła Rząd lub ministra, chyba, że rozwiąże Sejm i Senat".

Otóż co tu uderza to: 1) że żądanie ustąpienia rządu, czy ministra może nastąpić tylko w czasie sesji zwyczajnej, a nie nadzwyczajnej i 2) że aby ustąpienie ich nastąpiło trzeba zgody obu izb.

Co do pierwszego z tych punktów, to niezrozumiałem jest on wogóle: wszak w czasie sesji nadzwyczajnej, zwołanej zwykle w sprawach ważnych, mogą bardzo łatwo powstać poważne różnice zdań, pomiędzy rządem a Sejmem; dlaczego więc ten nie może zażądać ustąpienia tamtego?

Co zaś do punktu drugiego, to jest rzeczą bardzo rzadką, aby obie izby były jednego zdania, w sprawie usunięcia rządu. Zwłaszcza jeżeli Senat składa się z $^1/_3$ członków mianowanych na lat 5 przez Prezydenta. Widzimy więc, że odpowiedzialność rządu polityczna przed Sejmem jest fikcją.

Art. 30 uznaje też i konstytucyjną, czyli sądową odpowiedzialność rządu i ministrów za *„umyślne naruszenie konstytucji lub innego aktu ustawodawczego dokonanego w związku z urzędowaniem"*. Niesłychanem jest tu wyrażenie *za umyślne naruszenie itd. Przedewszystkiem zachodzi pytanie jak można dowieść rządowi, czy pojedyńczemu ministrowi, że naruszył on konstytucję, lub inną ustawę umyślnie? Oczywiście naruszający akty te zawsze bronić się będzie, że zrobił to nie umyślnie. Trzebaby siedzieć w jego duszy, aby wątpliwości te rozstrzygnąć. Ale nie jest to wcale potrzebne.*

Wszak każdy zwykły obywatel, jeżeli spowoduje naruszenie czyich praw, to odpowiada za to, w większem, czy mniejszem stopniu, w zależności od obecności okoliczności łagodzących, albo nie; wolnym jest całkowicie od odpowiedzialności wówczas tylko, kiedy jest warjatem, albo kiedy znajduje się chwilowo w stanie niepoczytalnym. *Zasada ta powinna stosować się i do ministrów, niema żadnego powodu wyróżniać ich pod tym względem.*

Nieumyślne naruszenie konstytucji może być wynikiem dwu przyczyn: 1) nieuwagi, roztargnienia; 2) nieznajomości ustaw. Jeżeli chodzi o cały rząd, to trudno jest przypuścić, a nawet wprost stwierdzić należy, że nie można przypuścić, aby kilkanaście osób w jednym czasie podległo takiemu roztargnieniu, a zatem rząd w swej całości nie może naruszyć ustaw z powodu roztargnienia. Co zaś do ministra poszczególnego, *to może być w stanie roztargnienia, ale będzie to tylko okolicznością łagodzącą winę, ale jej nie usuwającą.*

Co zaś do nieznajomości prawa to, powszechnie panuje zasada, a i u nas także, że nie usuwa ona winy tego co je narusza z powodu tej nieznajomości. Nie ma więc żadnego powodu robić wyjątek z tej zasady dla rządu, czy tej pojedyńczego ministra. Jeżeli ktoś przyjmuje urząd ministra, to powinien być obeznany z ustawami, a jeżeli sam nie ma dobrej pamięci, to powinien mieć koło siebie

odpowiednich ludzi i tak jest istotnie, wszak w każdem ministerstwie są radcowie prawni.

Zatrzymałem się nad tym przedmiotem nieco dłużej, aby wykazać jak wadliwie zredagowaną została nasza konstytucja, oraz jakie, aby się grzecznie wyrazić, dziwne posiada tendencje. Co zaś do administracji, to nowa konstytucja oddaje ją całkowicie w ręce Prezydenta o czem wyraźnie mówi artykuł 56. „*Dekrety dotyczące organizacji Rządu, zwierzchnictwa sił zbrojnych, oraz organizacji administracji mogą być wydawane w każdym czasie, a zmieniane i uchylane także tylko przez takież dekrety Prezydenta Rzeczypospolitej*“.

Oznacza to, że w tej dziedzinie dekrety Głowy Państwa stoją wyżej ponad ustawami.

Fakty wyżej przytoczone uzasadniają całkowicie pogląd wypowiedziany na początku artykułu, że nowa konstytucja nadaje Prezydentowi faktycznie władzę absolutną. *Frazes, że jest odpowiedzialny przed Bogiem i historją nie ma oczywiście żadnego znaczenia. Ustrój państwowy bowiem musi opierać się na normach prawnych ściśle określonych, a nie uciekać się do sił nadprzyrodzonych. Zresztą frazes ten, nawet jeżeli go pojmować wyłącznie w sensie etycznym, nie ma żadnego znaczenia, gdyż można, z tego punktu widzenia powiedzieć to o każdym człowieku, że jest odpowiedzialny przed Bogiem i historją, a nie tylko o Prezydencie.*

Jeżeli tego rodzaju orzeczenia mają być stosowane, to wogóle *uchwalanie konstytucyj jest zbyteczne, gdyż można i w odniesieniu do innych stosunków państwowych stosować normy nie prawne, a etyczne i oprzeć całą budowę społeczno polityczną na normach zawartych w 10 przykazaniach.*

Rzecz dziwna krytycy zasad wielkiej rewolucji francuskiej zwykle ośmieszali i ośmieszają słynną „Deklarację praw człowieka obywatela“, *chociaż, pomimo swej formy zbyt ogólnikowej więcej mówiła od normy nowej konstytucji dotyczącej odpowiedzialności Prezydenta.*

Ta norma jednak właśnie wywołała pozornie naiwne, a w gruncie rzeczy celowe, na naiwność czytelników obliczone zachwyty prof. Czesława Znamierowskiego z Poznania znanego sanatora, zamieszczone w trzech artykułach w „Gazecie Polskiej“.

Art. 80 omawia sprawę rewizji konstytucji. A więc: „Zmiana konstytucji może być dokonana z inicjatywy Prezydenta Rzeczypospolitej, rządu lub $^1/_4$ ustawowej liczby posłów. Wniosek postawiony przez Prezydenta Rzeczypospolitej może być głosowany tylko w całości i bez zmian, lub ze zmianami, na które Rząd imieniem Prezydenta Rzeczypospolitej wyrazi zgodę. Ustawa zmieniająca konstytucję z inicjatywy Prezydenta Rzeczypospolitej wymaga zgodnych uchwał Sejmu i Senatu, powziętych zwykłą większością głosów; z inicjatywy zaś Rządu i Sejmu — zgodnych uchwał, powziętych większością ustawowej liczby posłów i senatorów. Prezydent Rzeczypospolitej może w ciągu trzydziestu dni od otrzymania projektu ustawy, zmieniającego konstytucję, zwrócić go Sejmowi z żądaniem ponownego rozpatrzenia, które może nastąpić nie wcześniej, niż na następnej kadencji. Jeżeli Izby Ustawodawcze uchwalą ponownie projekt bez zmian, Prezydent Rzeczypospolitej stwierdziwszy podpisem moc ustawy zarządzi jej ogłoszenie, chyba, że rozwiąże Sejm i Senat“.

Widzimy tu rozmaite anomalje.

Przedewszystkiem zmianę konstytucji traktuje się w tym ustępie o ile wychodzi z inicjatywy Prezydenta Rzeczypospolitej, jako ustawę zwykłą, dla prawomocności której wystarcza zwykła większość obecnych posłów. Natomiast zmiana z inicjatywy Sejmu powzięta musi otrzymać większość kwalifikowaną. Czyli wolę przedstawicieli narodu stawia się niżej woli Prezydenta Rzeczypospolitej.

Drugą anomalją, jest w razie veta Prezydenta w stosunku do uchwalonej w Sejmie i Senacie rewizji konstytucji, ponowne jej rozpatrzenie dopiero w następnej kadencji ciał ustawodawczych.

Zmiana konstytucji jest rzeczą bardzo ważną, dlatego też powinna być uchwalana w innych warunkach od ustaw zwykłych i nie powinna być przeciągana na całe lata.

Wreszcie trzecią i największą anomalją jest to, że Prezydent Rzeczypospolitej wogóle może uniemożliwić rewizję konstytucji, gdyż jeżeli po ponownem rozpatrzeniu projektu jej zmiany ciała ustawodawcze znowu ją uchwalą, to Prezydent Rzeczypospolitej może rozwiązać Sejm i Senat a wówczas znowu wszystko należy zaczynać na nowo. Artykuł 80 nawet nieogranicza Prezydenta Rzeczypospolitej do jednorazowego rozwiązania obu Izb, z powodu tej rewizji, więc może je później znowu rozwiązać i uwiecznić w ten sposób ten dziwny utwór sanacyjny.

Faktycznie Sejm i Senat są w nowej konstytucji tylko ciałami doradczemi Prezydenta Rzeczypospolitej, a nie przedstawicielstwem narodowem mającym wpływ rzeczywisty na ustawodawstwo i rząd.

Możność uniemożliwienia rewizji konstytucji zamyka właściwie legalną drogę do jej zmiany.

Art. 42 jest też bardzo charakterystyczny dla tendencyj sanacji; ustęp jego 4 głosi: „poseł, zatrzymany w czasie trwania sesji nie z nakazu sądu — będzie na żądanie Marszałka Sejmu niezwłocznie wypuszczony na wolność“. Otóż zachodzi pytanie dlaczego tylko na żądanie Marszałka Sejmu, a nie całego Sejmu? Pozostawienie spraw takich samemu marszałkowi otwiera możność postępowania stronniczego. *Zadaniem konstytucji dobrej jest właśnie unikać wszystkiego co daje możność samowolnego, niesprawiedliwego postępowania, ale autorom konstytucji o to chodziło jaknajmniej.* Nie mieli oni odwagi skasowania Sejmu i Senatu Pozostawili więc te ciała nie dając im żadnego wpływu rzeczywistego, a posłów i senatorów starali się skrępować, dowodem czego jest chociażby niesłychanie krótki czas przeznaczony dla uchwalenia budżetu, oraz rozpatrzenia poprawek Senatu.

Tendencją nowej konstytucji jest: uniemożliwić kontrolę rządu, administracji, utrudnić badanie budżetu, wogóle skrócić, o ile możności czas obrad ciał ustawodawczych, które się traktuje jako zło konieczne na razie.

Dziewięcioletnie rządy sanacji nietylko nie wykazały jej uzdolnień politycznych, lecz przeciwnie, we wszystkich dziedzinach ujawniły: albo *zdumiewająca lekkomyślność, np. w polityce zagranicznej; albo niesłychane niedołęstwo w sprawach mniejszości narodowych na Kresach Wschodnich i Zachodnich, oraz absolutny brak nietylko jakiegoś szerszego, stałego programu, ale nawet tego wszystkiego coby było jego surogatem, czy też próbą w tej dziedzinie; albo całkowicie nieorjentowanie się w zjawiskach gospodarczych, bez żadnej*

linji wytycznej. Wszystko to razem wzięte rujnuje państwo. Sanacja powinna więc być cichą i skromną.

Po takich 9-letnich rządach trzeba było uchwalić konstytucję, którąby uwieczniła je i zasłoniła osoby, które w nich się „odznaczyły" przed polityczną i konstytucyjną odpowiedzialnością *i jednakże strach ma wielkie oczy, nie przestano więc na tej „twórczości" ustrojowej i postanowiono jeszcze stworzyć taką ordynację wyborczą, któraby bez „cudów" podczas głosowania na posłów i senatorów zapewniła zupełnie posłuszne ciała ustawodawcze. Czy to wszystko jednak ocali sanację przed upadkiem? Należy conajmniej wątpić.*

II

Nowa ordynacja wyborcza narusza świeżo uchwaloną konstytucję, mianowicie jej art. 32, ustęp 1 którego brzmi: „*Sejm składa się z posłów, wybranych w głosowaniu powszechnem, tajnem, równem i bezpośredniem*".

Istotnie bowiem, jak to zobaczymy dalej, nowa ordynacja wyborcza zaprowadza faktycznie wybory pośrednie i odbiega od równości głosów.

Art. 3 w punkcie 1 wylicza aż 10 kategorji osób, które pozbawione są prawa wybierania posłów. *Z pośród tych kategoryj dwie są zupełnie niesłusznie pozbawione tego prawa, mianowicie: kategorja c i d, pierwsza z nich obejmuje wydalonych na mocy wyroku „sądu dyscyplinarnego ze służby państwowej lub samorządowej... na lat 5".*

Otóż sąd dyscyplinarny w urzędach państwowych, czy samorządowych, usuwa nietylko ludzi nieuczciwych, którzy postępowali nieetycznie, niepopełniając zarazem przestępstw podlegających sądom karnym, lecz także i takich, którzy mieli zatarg z przełożonymi, z powodu czy to niesubordynacji, czy nawet ostrego przemówienia się. Pozbawienie więc takich ludzi wybierania posłów, jest niczem nieuzasadnione. To też w żadnem państwie cywilizowanem nie pozbawiają prawa wyboru ludzi tej kategorji, może we Włoszech, w Sowietach, czy też w Niemczech, ale gdyby nawet tak było, to nie należałoby tego naśladować. Konstytucja nasza marcowa z 1921 roku także ich nie wyłączała

Kategorja „d" pozbawia prawa głosowania na posłów, osoby wykluczone od pełnienia czynnej służby wojskowej, służby w rezerwie, lub w pospolitem ruszeniu. Nie znam dokładnie przepisów o służbie wojskowej i dlatego, o ile chodzi o tę kategorję osób, *to mogę tylko wyrazić swe wątpliwości co do słuszności pozbawiania ich tego prawa, przypuszczam bowiem, że ta kategorja osób w wojskowości odpowiada osobom w kategorji „e" w służbie cywilnej.*

Art. 31 głosi: „listę kandydatów na posłów ustala w każdym okręgu wyborczym zgromadzenie okręgowe". Art. 32 oznacza jego skład następujący: *a) z okręgowego komisarza jako przewodniczącego* (jest on mianowany przez Głównego Komisarza Wyborczego z pośród sędziów w okręgu przyp. autora), *b) z delegatów samorządu terytorjalnego wybranych: przez rady powiatowe, po jednym delegacie na 20 000 mieszkańców danego powiatu; przez rady gminne po dwóch delegatów na gminę, liczącą powyżej 6 000 mieszkańców, a po jednym delegacie w pozostałych gminach; przez rady miejskie po jednym delegacie na 4 000 mieszkańców miasta wydzielonego z powiatowego związku samorządowego, a na 6 000 w pozostałych miastach; z delegatów samorządu gospodarczego i organizacyj zawodowych, wybranych: przez Izbę Rolniczą — po jednym delegacie na dwóch delegatów rad powiatowych, wchodzących w skład danego zgromadzenia okręgowego; przez Izbę Przemysłowo-Handlową — po jednym delegacie na 500 wyborców do Izby zamieszkałych na obszarze okręgu; przez Izbę Rzemieślniczą po jednym delegacie na 500 wyborców do Izby, zamieszkałych na obszarze okręgu; przez organizacje zawodowe pracowników fizycznych — po jednym delegacie na dwóch delegatów rad miejskich oraz rad gminnych, utworzonych z osad przemysłowych; przez organizacje zawodowe pracowników umysłowych — po jednym delegacie na dwóch delegatów pracowników fizycznych.*

II. „Przy ustalaniu liczby delegatów do zgromadzenia okręgowego każde rozpoczęte 20 000, 6 000, 4 000, 500 bądź dwa liczy się za pełne.

III. *W okręgach wyborczych, liczących ponad 75 000 ludności miejskiej w skład zgromadzenia okręgowego wchodzą nadto: a) delegaci samorządu zawodowego wybrani przez: Izbę Lekarską — po trzech na okręg, przez Izbę Adwokacką po dwóch na okręg — przez Izbę Notarjalną po jednym na okręg; b) delegaci zrzeszeń technicznych — po trzech na okręg; c) delegaci organizacyj kobiecych — po pięć na okręg; w okręgach zaś, na których obszarze znajduje się szkoła akademicka; d) delegaci szkół akademickich — po 2-ch delegatów na szkołę wielowydziałową i po jednym delegacie na szkołę jednowydziałową".*

Art. 33. W skład zgromadzenia okręgowego wchodzą ponadto delegaci, zgłoszeni po jednemu przez conajmniej 500 wyborców, zamieszkałych w okręgu wyborczym".

Widzimy więc, że ustawa ta zaprowadza wybory pośrednie, wbrew art. 32 nowej konstytucji, oraz art. 49, którego ustęp drugi brzmi: „Żaden akt ustawodawczy nie może stać w sprzeczności z konstytucją". Nowa ordynacja wyborcza, również wbrew powyższym artykułom konstytucji zamiast wyborów równych, zaprowadza nierówne, gdyż jest rzeczą oczywistą, że znaczenie głosów poszczególnych obywateli, przy wyborze delegatów, mających głosować na posłów, równem nie jest. Np. głosy członków rad powiatowych mają bez porównania większe znaczene od głosów tych obywateli, którzy mają prawo wybierania delegatów w stosunku 1 na 500 zamieszkałych w okręgu obywateli; jak również głosy np. członków Izb Rzemieślniczych, wybierających na delegatów w stosunku jednego na 500 wyborców, mają mniejsze znaczenie od głosów osób ze szkół akademickich, w których szczuplejsza liczba wybiera delegatów.

Nie chodzi tu o matematyczne ujęcie tej różnicy w znaczeniu głosów poszczególnych obywateli, lecz o stwierdzenie faktu, że wybory, wbrew wyraźnemu brzmieniu konstytucji, równemi nie są.

Im bardziej wybory są zawiłe, im bardziej wymagają rozmaitych sprawdzań, dochodzeń itp., tem szersze pozostawiają pole do nadużyć, gdyż: ta kontrola wymaga dużo czasu, dużo dokładności, dużo osób, a ponieważ zwykle mniej jest ludzi sumiennych od mało sumiennych, mniej starannych od niestarannych, więc nic dziwnego, że w takich warunkach nietylko mogą, ale muszą powstawać rozmaite „niedokładności", mimowolne i świadome, w interesie rządzącej biurokracji.

Wybory rzeczywiście równe, powszechne, bezpośrednie i tajne obejmujące wszystkich obywateli

w okręgach wymagają mniej zachodów, podlegają łatwiejszemu sprawdzeniu od tych, jakie zaprowadza nowa ordynacja wyborcza.

Konstytucja pominęła wybory proporcjonalne, a ordynacja wyborcza ich nie wprowadziła.

Twórcom konstytucji chodziło o to, aby osłabić stronnictwa polityczne i zwiększyć przez to chaos w życiu politycznem społeczeństwa, przy którym łatwiej rządzić, co prawda na krótką metę i utrzymać się przy władzy.

Ludzie tępi wyobrażają sobie, że wybory proporcjonalne korzystne są tylko dla mniejszości. *a zapominają o tem, że one jedynie dają pewność, że przy 5-przymiotnikowem prawie wyborczem, większości głosujących odpowiadać będzie większość posłów. Bez proporcjonalności często bardzo nawet przy 5-przymiotnikowem prawie wyborczem mniejszość obywateli ma większość w Sejmie, co zależy od przypadku, mianowicie od rozmaitego skupienia się zwolenników poszczególnych kierunków (stronnictw) w oddzielnych okręgach.* Do sprawy tej odsyłam czytelników do Nr. 1 „Demokraty", w którym jest mój artykuł.

Dla braku miejsca nie mogę tu wchodzić w omawianie technicznych szczegółów samych wyborów. Oczywiście wszystko jest tak pomyślane, aby czynnikowi obywatelskiemu dać jaknajmniejszą możność kontroli w czasie ich odbywania się, czy to przy wyborze posłów, czy delegatów. Główny komisarz wyborczy, mianowany przez rząd i komisarze okręgowi powołani przez niego — główną odgrywają rolę.

Jako rzecz niesłychaną należy tu wymienić art. 68, w którym ustęp 3 głosi: *„karty do głosowania niewypełnione przez wyborcę, są ważne, przyczem uważa się, że wyborca oddał głos na kandydatów, umieszczonych w liście na pierwszem i drugiem miejscu".*

Zwykle omyłki na kartach wyborczych, automatycznie unieważniają je, tymczasem omawiana tu ustawa wyborcza uważa kartę niewypełnioną za ważną i oznaczającą wybór dwu pierwszych kandydatów. Oto logika!

Art. 56 tej ustawy pozostawia pole do samowoli, gdyż głosi: „podczas aktu głosowania i ustalania jego wyniku w lokalu wyborczym mogą być obecni mężowie zaufania, zgłoszeni po jednym na obwód przez każdego z kandydatów na posła".

Tam właśnie, gdzie chodzić powinno o najściślejszą kontrolę, tam ustawa, zamiast kategorycznie wymagać dopuszczenia mężów zaufania kandydatów na posłów, oświadcza tylko, że *mogą* być dopuszczeni. *A kto o tem rozstrzyga, oczywiście ludzie przez władzę powołani, bo komisja obwodowa.*

Art. 15 ustawy brzmi: „obwodowa komisja wyborcza składa się: a) z przewodniczącego powołanego przez przewodniczącego okręgowej Komisji wyborczej (którego mianuje Komisarz Główny przyp. autora); b) z czterech członków powołanych w połowie przez władze administracji ogólnej, a w połowie przez przełożonego gminy".

W takich warunkach rząd w każdej komisji obwodowej będzie miał większość, gdyż przewodniczący wraz z dwoma członkami mianowanemi przez administrację ogólną tworzą razem 3 głosy na pięć i to w najlepszym razie, w miastach nieco większy, ale i to nie zawsze; na wsi zaś przełożeni gminy są narzędziami starostów i tam wszystkie 5 głosów będzie działać dla rządu.

Zbytecznem jest tu rozwodzić się szeroko nad tem, że w takich warunkach niema najmniejszej nawet gwarancji prawidłowego przeprowadzenia wyborów, które stają się zupełną farsą.

Posłów ma być 208.

Nie będę się tu rozwodził nad innemi wadami tej ordynacji wyborczej do Sejmu.

Art. 1 Ustawy z dnia 8 lipca 1935 r. dytyczący wyborów do Senatu określa liczbę jego członków na 96. Art. 2 mówi o powołaniu przez Prezydenta Rzeczypospolitej 32 senatorów. Art. 3 wyznacza liczbę 64 senatorów, wybranych 1) przez osoby zasłużone, 2) posiadające wysoki oświatowy cenzus wyborczy, 3) cieszące się zaufaniem ze względu na zajmowane stanowisko.

Do osób pierwszej z powyższych kategoryj należą odznaczeni orderami: Orła Białego, Virtuti Militari, krzyżem lub medalem Niepodległości, krzyżem Walecznych, Odrodzenia Polski, Krzyżem Zasługi.

Do osób drugiej kategorji należą ci, co ukończyły rozmaite wyższe zakłady naukowe, lub zawodowe stopnia licealnego, liceum pedagogiczne, albo szkołę podchorążych; osoby, które ukończyły jedną ze szkół równorzędnych z wyżej wymienionemi, albo posiadającemi stopień oficerski

Do trzeciej kategorji należą osoby zajmujące stanowisko z wyboru w samorządzie terytorjalnym, a mianowicie: członkowie rad (sejmików wojewódzkich, powiatowych, gminnych, miejskich), tudzież członkowie zarządów miejskich; osoby piastujące stanowiska we władzach w samorządzie gospodarczym, oraz w zarządach organizacyj gospodarczych i zawodowych, a mianowicie: radcowie izb rolniczych, przemysłowo-handlowych i rzemieślniczych; przewodniczący zarządów cechów oraz oddziałów tych zrzeszeń przemysłowych i rzemieślniczych, związków gospodarczych, które objęte są prawem przemysłowem; przewodniczący zarządów kółek rolniczych, zrzeszonych w związku Izb i Organizacyj Rolniczych; przewodniczący zarządów oddziałów (kół) tych pracowniczych organizacyj zawodowych, które liczą conajmniej 1 000 członków płacących składki; przewodniczący zarządów kół miejscowych (oddziałów organizacyj miejscowych) stowarzyszeń wyższej użyteczności; członkowie zarządów wyższych szczebli organizacyjnych samorządu gospodarczego, związków zawodowych, stowarzyszeń wyższej użyteczności publicznej.

Art. 3 tej ustawy zaznacza, że prawo wybieralności do Senatu nie służy obywatelom, którzy przed dniem zarządzenia wyborów do Izb Ustawodawczych nie ukończyli lat 30, a także obywatelom, nie mającym prawa wyboru do Sejmu.

Art. 4 wskazuje, że prawo wybieralności do Senatu służy każdemu obywatelowi, mającemu prawo wybierania do Sejmu, który przed dniem zarządzenia wyborów do Izb Ustawodawczych ukończył lat 40.

Nie będę tu wchodził w dalsze szczegóły tej ordynacji wyborczej do Senatu, to co powiedziałem wystarcza do jej oceny.

Pomysł nadawania przywileju wybierania delegatów wybierających senatorów z powyższych kategoryj osób: odznaczonych orderami, posiadających wspomniany wyżej cenzus oświatowy i zajmujące pewne stanowiska, wreszcie mianowanych przez Prezydenta Rzeczypospolitej — *jest niczem nieuzasadniony i sprzeczny z poczuciem sprawiedliwości.* O tej $^1/_3$ senatorów mianowanych

przez Głowę Państwa pisałem już wyżej i powtarzać tego nie będę; *co zaś do obywateli udekorowanych orderami, to niepodobna zrozumieć dlaczego mają oni mieć większe prawa od innych, nagroda za pewne czyny, wyrażona w formie odznaczenia, sama przez się stanowi już dla danej osoby pewne zadośćuczynienie za jej pracę i nie wymaga bynajmniej przywileju politycznego; zasłużony obywatel, sumienny urzędnik albo dzielny oficer, którzy otrzymali ordery są już przez to samo wyróżnieni, ale fakt ten nie dowodzi bynajmniej, aby byli oni bardziej kompetentni, od innych obywateli, do pośredniego, czy bezpośredniego wyboru senatorów.*

Cenzus umysłowy pozornie, ale tylko pozornie, ma większe usprawiedliwienie, ale przy bliższem rozpatrzeniu okazuje się również nieuzasadnionym, dla trzech powodów: *1) przedstawicielstwo narodowe winno być reprezentacją wszystkich obywateli, rozmaitych odłamów społeczeństwa, a nie pewnej tylko ich grupy, czy kilka grup; osoby posiadające zwłaszcza wysoki cenzus wyborczy, jak ustanawia omawiana tu ordynacja wyborcza, zajmują już faktycznie stanowisko uprzywilejowane w porównaniu z innymi. Poco więc wzmacniać ich stanowisko i to kosztem tych sfer, które pozbawione są prawa udziału w wyborach.*

Wreszcie złudzeniem jest przypuszczać, że cenzus oświatowy jest zarazem cenzusem cnót obywatelskich, bezstronności itp. Bardzo często jest inaczej, człowiej inteligetny jest bardziej od mało inteligentnego uzdolniony do życia i działalności, ale jaki użytek zrobi on z tego uzdolnienia, to zależy od jego strony moralnej, która nie może być oceniana zgóry przez żadne kryterja objektywne. Można tylko negatywnie usunąć jednostki przestępcze od wyborów, co też zawierają rozmaite ustawy wyborcze i powyższa także.

Wreszcie są często specjaliści, w różnych zawodach bardzo wysoko stojący, zarazem jednak mający bardzo małe pojęcie o sprawach publicznych i nieinteresujący się niemi. Dlatego też, najsłuszniej, najracjonalniej jest nie pozbawiać nikogo praw wyborczych, za wyjątkiem osób karanych za czyny nieetyczne i upośledzonych umysłowo, a przez to nieodpowiedzialnych.

Jedynie pewien cenzus wieku może być usprawiedliwiony, jeżeli nie jest zbyt wysoki; gdyby ordynacja wyborcza do Senatu u nas pozostała taką jak była, to byłoby najlepiej.

Umiarkowany cenzus wieku daje prawa pewne ludziom, którzy zdobyli doświadczenie życiowe mniejsze, albo większe; cenzus taki nie krzywdzi żadnej warstwy społecznej, gdyż w każdej z nich znajdują się ci nieco starsi, którzy zdobyli pewne życiowe doświadczenie.

III

Wybór Prezydenta Rzeczypospolitej normuje nowa konstytucja w ten sposób, że zgromadzenie elektorów złożone: *z Marszałka Senatu jako przewodniczącego, Marszałka Sejmu, jako jego zastępcy, z Prezesa Rady Ministrów, Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego, Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych oraz 75 elektorów, wybranych z pośród obywateli najgodniejszych, w 2/3 przez Sejm i w 1/3 przez Senat — wybiera kandydata na Prezydenta Rzeczypospolitej.*

Prócz tego ustępującemu Prezydentowi Rzeczypospolitej służy prawo wyznaczenia kandydata na przyszłego Prezydenta Rzeczypospolitej. Jeżeli ustępujący Prezydent z prawa tego skorzysta, to wyboru Prezydenta dokonają obywatele w głosowaniu powszechnem z pomiędzy dwóch kandydatów: Zgromadzenia elektorów i ustępującego Prezydenta Rzeczypospolitej.

Jeżeli ustępujący Prezydent z prawa tego nie skorzysta, to Prezydentem staje się kandydat Zgromadzenia elektorów.

Ustawa o wyborze Prezydenta normuje szczegóły techniczne wyboru przez Zgromadzenie elektorów wyborców Prezydenta, oraz wybory powszechne Prezydenta, przez ogół obywateli, w razie istnienia dwu kandydatów na Prezydenta.

Nie będę tu omawiał tych szczegółów.

Sposób wyboru Prezydenta jest tak obmyślany, aby tylko „sanacja" mogła przeprowadzić napewno swego kandydata. Do osiągnięcia celu tego dostosowaną jest cała ordynacja wyborcza do Sejmu i Senatu. Ordynacja, jak widzieliśmy sprzeczna z nowouchwaloną konstytucją. To też, w kołach sanacyjnych kursuje pogłoska, że po zebraniu się Ciał Ustawodawczych i po przypuszczalnym wyborze Prezydenta, oraz po załatwieniu spraw pilnych rzeczy, Sejm i Senat uchwalą nową ordynację do tych ciał. „Sanacji" chodzi o to, aby nowym Prezydentem był ktoś z ich najbliższego grona. Pułkownikowskim kandydatem jest podobno premjer Sławek. *„Sanacja" chce koniecznie rządzić, choćby jeszcze 7 lat.*

Dla tych wszystkich, którzy tego nie chcą i co rozumieją, że byłoby to bardzo niekorzystnem dla Państwa i Narodu uchwalenie tak wadliwej konstytucji i ordynacji wyborczej do Ciał Ustawodawczych — jest objawem pomyślnym. Doprowadzenie bowiem ustroju państwa do absurdu — będzie zarazem początkiem końca „sanacji".

JANUSZ HALICKI

Dmowszczyzna

Dokończenie

III.

W zwalczaniu racjonalizmu autor omawianej książki postępuje tak samo, jak w zwalczaniu liberalizmu. Utożsamia on racjonalizm początkowy z drugiej połowy wieku XVII-go i XVIII-go z racjonalizmem wogóle: stary racjonalizm z tych wieków łudził się, że przez samorozumowanie, to znaczy przez wprowadzanie pewnych logicznych wniosków z zupełnie pewnych założeń — można dojść do wyjaśnienia wszelkich zagadnień, dotyczących bytu świata i ludzi. Był to kierunek metafizyczny, co oznacza to, co jest poza zjawiskami czysto fizycznemi, że tak powiem zmysłowo-dotykalnemi.

Racjonalizm ten dochodził do wniosków fantastycznych, mało mających wspólnego z rzeczywistością. Tak jak stary liberalizm wieku XVIII zniknął prędko, tak też i stary racjonalizm upadł w początkach i połowie wieku

XX; w niektórych państwach wogóle nie zdołał zdobyć silnej pozycji, jak np. w Anglji, a po części i we Francji; najsilniej rozwinął się w Niemczech.

Gluzińskiemu nie chodzi jednak o zwalczanie tego starego racjonalizmu, który już jest pokonany i tylko w czasach reakcji chwilowo ujawnia się w formach złagodzonych; dąży on do zwalczenia racjonalizmu wogóle, to znaczy do poddania rozumu bądź to instynktom, bądź też rozmaitym wierzeniom uczuciowym, czy to religijnym.

O przeciwstawianiu instynktów rozumowi pisałem już na początku artykułu niniejszego, obecnie pozostaje mi omówić stosunek intelektu, czyli rozumu do uczuć, oraz nauki do religji.

Gluziński twierdzi, że rozum osłabia ideał, gdyż wszelkie rozważanie ideału, badanie przyczyn jego powstania, ocenianie go, z konieczności obniża go, podrywa wiarę w niego. Dlatego też sądzi on, że uczucie powinno dyktować nam nasze ideały, a nie rozum, który jedynie może nam służyć do tego, aby nam wskazać drogi do jego urzeczywistnienia.

Całe to rozumowanie opiera się na psychologji od siedmiu boleści. Istotnie, podział naszych czynników duchowych, czyli psychicznych na: uczucia, rozum, czyli intelekt i wolę nie jest odbiciem prostem rzeczywistości, lecz sztuczną operacją naszego umysłu przedsiębraną dlatego, aby ułatwić nam oddzielne badanie przejawów naszego życia duchowego.

U ludzi normalnych nie spotykamy nigdy samych uczuć bez pewnych objawów rozumowania i woli. Jeżeli zaś przeciwstawiamy w praktyce uczucie rozumowi czy woli, to tylko w tem znaczeniu, że, w pewnych naszych stanach duchowych, nastrojach, czy czynnościach — jeden z tych trzech czynników (t. j. uczucie, rozum, czy wola) ma przewagę nad innym. Jeżeli w danym stanie duchowym uczucie przeważa, mówimy, że jest to stan uczuciowy i jeżeli rozum, to rozumowy.

Takie stanowisko wynika zarówno z naszego doświadczenia wewnętrznego, jak i opartego na niem rozumowania. Wiemy też, że uczucie silniej wpływa na nasze postępowanie od rozumu, ale i to zdanie rozumieć należy nie w znaczeniu bezwzględnem, lecz tylko we względnem; to znaczy, że na pewien czyn, na akt woli, przy innych warunkach równych, zdobywamy się wówczas, jeżeli oprócz przeświadczenia rozumowego, że tak należy postąpić, popychani jesteśmy do tego jeszcze przez pewne mniejwięcej silne uczucie, dla którego postępek ten będzie pewnego rodzaju przyjemnością, w znaczeniu zwykłem, albo też nakazem, wymagającym nawet ofiary z naszej strony, ale takim, którego spełnienie sprawi nam, pomimo tej ofiary, przyjemność, że się tak wyrażę wyższego rzędu np. poświęcenie się dla dobra narodu, albo dla ideału społecznego, czy też dla nauki i t. p. Z powyższego widać, że przyjmowanie wyłącznie uczuciowe jakiejś idei, bez czynnika rozumowego nie jest do pomyślenia. Gluziński powiększa błąd swój przez to jeszcze, że odrzucając rozumowe przyjmowanie ideału, zarazem uznaje, że rozum potrzebny jest przy obieraniu drogi wiodącej do jego urzeczywistnienia. Ponieważ samo uczucie nigdy nie występuje w stanach duchowych, więc samo ono nie może tworzyć ideału.

Jeżeli zaś rozważając sposób realizacji mego ideału dojdę do przekonania, że napotyka on na nieprzezwyciężone trudności, to z konieczności, prędzej, czy później, dotychczasowy mój ideał przestanie nim być dla mnie praktycznie, bo wyrobię sobię przekonanie, że nie mogę go osiągnąć.

Rozumowanie wcale nie musi osłabić ideału, przeciwnie może go wzmocnić: jeżeli ideał odpowiada moim wymaganiom rozumowym, to praca dla niego będzie dla mnie bardziej jeszcze uzasadnioną, niż w wypadku przeciwnym.

Oczywiście, ideały tworzymy na podkładzie uczuciowym, ale przy udziale rozumu, a nie bez niego.

Jeżeli zaś jakiś ideał mnie silnie pociąga, ale przy bliższej analizie okaże się niemożliwym do realizacji i przestanie nim być dla mnie, to ani ja, ani społeczeństwo nic na tem nie stracimy. Idea całkowitej wolności jednostki, brak wszelkiego przymusu zewnętrznego, czy to w postaci państwa jako całości, czy też poszczególnych jego pierwiastków — sama przez się jest pociągająca i piękna. Jeżeli jednak rozum wskazuje mi na to, że społeczeństwo bezpaństwowe jest utopją niemożliwą do urzeczywistnienia, że jednostka wyrwana z wszelkich więzów organizacyjnych o charakterze przymusowym jest fikcją, a gdyby nią nie była, to tracąc te więzy zostałaby zubożałą i jeżeli dlatego odrzucam właśnie ideał anarchistyczny, to sądzę, że postępuję słusznie.

Weźmy teraz przykłady inne, a więc przywiązanie do narodu i do pracy społecznej, w imię zdobycia lepszych i wyższych od obecnych form ustrojowych.

Miłość do własnego narodu nic nie traci na rozważaniach rozumowych. Świadomość nici wiążących człowieka z jego narodem przez pochodzenie, język, wspomnienia historyczne może tylko wzmocnić związek jednostki z narodem. Mogą być oczywiście wypadki wyjątkowe, w których albo jednostka jest wogóle pozbawiona uczuć społecznych, albo posiada je w stopniu bardzo słabym, a wówczas nie odczuwa przywiązania do swego narodu i rozważanie rozumowe patrjotyzmu nie może tu już zaszkodzić; albo też okoliczności tak się złożyły, że między jednostką, a narodem do którego należy, na tle wypadków życiowych, zaszły takie starcia, że między nią, a nim zerwane zostały wszelkie łączące nici, i w tym więc wypadku rozumowanie o patrjotyźmie nie może przynieść żadnej szkody.

To samo dotyczy ideału społecznego. Jeżeli jednostka posiada go i jeżeli uświadamia sobie coraz bardziej rozumowo zło stosunków istniejących, ich niesprawiedliwość, możliwość ich naprawy, to takie rozumowanie może tylko ją utwierdzić w chęci pracy i ofiar dla urzeczywistnienia tego ideału.

Tak więc, rozumowanie wcale nie musi osłabić przywiązania do ideału, który z natury rzeczy ma prawo bytu i tkwi w naszych uczuciach. Jeżeli zaś sam ideał nie ma w nich podstaw naturalnych, albo jest oczywistą utopją niemożliwą do urzeczywistnienia i rozważanie go doprowadzi: albo do jego osłabienia, albo do odrzucenia, to w wyniku ogólnym może to być tylko korzystnem zarówno dla jednostki, dla narodu, czy tej grupy społecznej do których jednostka należy. Przechodząc teraz do religji i stosunku jej do nauki, to należy przedewszystkiem uświadomić sobie, że są to dziedziny odrębne. Nauka opiera się na obserwacji i doświadczeniu, na gromadzeniu, klasyfikowaniu wypływających z nich faktów i wyprowadzaniu z nich wniosków logicznych. Nauka tak pojęta ułatwia nam życie indywidualne i społeczne, ułatwia stosunek nasz do przyrody i jej wyzyskanie dla naszych potrzeb. Nauka daje nam poznanie zjawisk, poza które nie może wyjść, mogąc co najwyżej robić pewne tylko przypuszczenia.

Racjonalizm współczesny opiera się właśnie na tak pojętej nauce i różni się od dawnego tem, że opiera się przedewszystkiem na doświadczeniu i obserwacji, a choć występuje pod rozmaitemi nazwami, to właśnie stanowi jego istotę.

Nauka nie może nam dać odpowiedzi opartej na ścisłem rozumowaniu na takie pytania jak skąd wziął się wszechświat, czy ma on jakiś cel, czy nie; czy poza światem dostrzegalnym przez nasze zmysły jest jeszcze świat inny, czy go niema; czy istnienie nasze kończy się ze śmiercią, czy też przybiera po niej inną tylko formę? itp. Tutaj otwiera się właśnie dziedzina religji, która, oczywiście nie w formie naukowej, lecz innej sobie właściwej

daje odpowiedzi na te pytania, która opiera się na objawieniu przez religję uznanem. Ludzie wyznają rozmaite religje, stosownie przeważnie do tego w jakich związkach religijnych się urodzili, to znaczy, że zwykle wyznają wiarę swych ojców i dziadów, ale bywa też, że pod wpływem czy to nowych prądów religijnych, w pewnych epokach historycznych, religję zmieniają; bywa też i tak, że pod naciskiem pewnych okoliczności życiowych przechodzą na inne wyznanie; wreszcie są też wypadki, że obojętnieją wogóle w stosunku do wierzeń, albo nawet im się przeciwstawiają. Umysły lubiące dociekanie teologiczne mogą też wierzenia zmieniać z przekonania swego umysłu; uczucia pociągają ludzi do tego, czy innego wyznania.

Tak jest, było i będzie na świecie bez względu na to czy to się nam nie podoba, czy podoba. Religja jest sprawą sumienia ludzkiego, sumienia jednostek, do którego nikt nie powinien się mieszać. Oczywiście, człowiek wyznający szczerze taką, czy inną religję podlega dobrowolnie jej nakazom. Ale żaden przymus zewnętrzny, a zwłaszcza fizyczny nie powinien tu mieć miejsca.

Obecnie i Kościół katolicki patrzy na te rzeczy inaczej, niż przed wiekami i wcale nie myśli o przymusie zewnętrznym, w sprawach wiary, o wprowadzaniu inkwizycji i t. d.

Otóż jakkolwiek dziedzina wiary odrębną jest od dziedziny wiedzy i jakkolwiek wiara wypływa więcej z uczuć naszych niż z powodów czysto rozumowych; to jednak ponieważ nie ma nigdy w życiu ludzi normalnych uczuć bez pierwiastków rozumu, ani odwrotnie rozumu bez pierwiastków uczuciowych — więc z natury rzeczy powstają często pewne tarcia i walki pomiędzy uczuciem, a rozumem, oraz wierzeniami opartemi na pewnych uczuciach, a pewnemi wymaganiami rozumu. U jednych ludzi bierze górę pierwiastek uczuciowy, a innych rozumowy, a jeszcze u innych tradycyjne przyzwyczajenie. I tu znowu należy powiedzieć, że czy to się komu podoba, czy nie, tak było, jest i będzie.

Oczywiście, są epoki większego, albo mniejszego ożywienia uczuć religijnych; epoki głęboko zakorzenionej wiary, obojętności, czy nawet niewiary. Zależy to od tylu czynników społeczno-politycznych, gospodarczych, cywilizacyjnych i wogóle życiowych, że niepodobieństwem jest wymieniać tu ich wszystkich.

Gluziński upraszcza sobie zadanie sądząc, że gdyby nie było złych racjonalistów, masonów i innych libertynów, to panowałaby idealna harmonja. Otóż jest to złudzenie. Nigdy takiej harmonji nie było, ani w starożytności, ani w wiekach średnich, ani nie ma jej dziś, ani jej nigdy nie będzie. Może ona istniała i istnieje w małych społeczeństwach rodowych, w których wszyscy żyją razem, ulegając jednakowym wpływom, posiadając identyczne prawie pojęcia, wierzenia itp. Ale w takich społeczeństwach istnieją różnice temperamentów i upodobań w szczegółach.

Z naiwną radością barbarzyńcy, w końcu swej książki, pisze Gluziński: „kunsztowny gmach nauk XVIII i XIX w. rozsypuje się w naszych czasach, jak nietrwałe próchno, do okna zapukały zjawy nowej nauki" itd. Jeżeli niektóre hipotezy naukowe utraciły swą wartość obecnie, przy ujawnieniu się faktów nowych, czy też dokładniejszemu zbadaniu już znanych, to wcale nie oznacza to bankructwo nauki. System Kopernika obalił system dawny, ale fakt ten nie oznaczał bankructwa astronomji; tak samo i obecnie nowe zjawiska dotyczące najmniejszych części materji (atomów), oraz nieznanych nam dawniej promieni świetlnych nie dowodzą bankructwa chemji i fizyki. Tylko dla wszelkiego rodzaju głuptasków fakty te dowodzą bankructwa nauki. Już dawny pozytywizm, którego nienawidzi Gliziński, twierdził, że poznać możemy tylko zjawiska, istoty których, ani przyczyn ostatecznych nigdy nie zbadano, w słabych głowach endeckich, każda zmiana prowadzi do upadku równowagi umysłowej.

IV

O sprawach polskich Gluziński ma także poglądy dziwaczne. Twierdzi on, że o narodowości naszej mowa być może dopiero w wieku XV. Otóż jeżeli mieć tu na myśli poczucie narodowe, to powstało ono już wyraźnie w końcu wieku XIII, na tle przeciwstawiania się żywiołu polskiego niemieckiemu, zarówno wewnątrz kraju, jak i zewnątrz. To przeciwstawienie się ujawniło się: w walce rycerstwa polskiego z mieszczaństwem niemieckiem, głównie w dzielnicy Krakowsko-Sandomierskiej; w akcji kościoła polskiego w sprawie języka polskiego zainicjowanej przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Świnkę i biskupa krakowskiego Pełkę; w walce pomiędzy niektórymi śląskimi książętami, a innymi Piastami; w przeciwieństwie polsko-krzyżackiem.

Łokietek w początkach XIV wieku stanął na czele ruchu narodowego. A procesy Polski z Krzyżakami w tymże wieku ujawniły już bardzo wyraźnie uczucia narodowe naszych przodków, widać to szczególnie z zeznań świadków.

W wieku XVI reformacja, chociaż, zdaniem Gluzińskiego, była ruchem powierzchownym, już wywarła ujemne u nas skutki; w wieku zaś XVIII i XIX masonerja zepsuła nas i wypaczyła nasz rozwój narodowy, wiek XX stanu tego nie poprawił, żywioły obce się rozpanoszyły.

Z tego widać, że właściwie, zdaniem tego autora, z całej wielowiekowej egzystencji narodu naszego tylko wiek XV i XVII był coś wart.

Dziwny pogląd. Wiek XV zgoda, ale już od połowy wieku XVII zaczyna się nasz upadek.

Jeżeli XVIII, XIX i XX wiek, to masonerja i żydzi, to prawdziwi Polacy byli tylko w ciągu dwu wieków.

To jest historjozofja jednego z odłamów Dmowszczyzny. Nie mogę tu rozwodzić się nad różnemi niedokładnościami Gluzińskiego, gdyż musiałbym podwoić rozmiary tego artykułu. Dla przykładu przytoczę tylko taki fakt. Autor omawiając wprowadzenie równego, powszechnego prawa głosowania twierdzi, że najpierw było ono wprowadzone w Niemczech; oto co pisze w tej sprawie na str. 51: „Cesarstwo niemieckie jest pierwszem państwem wprowadzającem u siebie powszechne głosowanie do parlamentu, za niem idzie królestwo włoskie, a potem nawet monarchja Habsburgów".

Autor się myli; pierwszą konstytucją zaprowadzającą to prawo był dekret z dnia 5. III. 1848 roku, wydany po wybuchu rewolucji 1848 r. przez rząd tymczasowy, na jego podstawie zebrał się parlament. Zasada tej powszechności z pewnemi wyłączeniami została utrzymana w konstytucji uchwalonej w 1848 r. Następnie powszechne prawo głosowania zostało wprowadzone w północno-niemieckim związku utworzonym po wojnie prusko-austrjackiej 1866 r., później dopiero wprowadziło je Cesarstwo Niemieckie utworzone po wojnie francusko-niemieckiej 1870 roku. Następnie wprowadziła je konstytucja francuska 1875 r. Może ktoś powie, że te omyłki są drobne. Otóż sądzę, że nie, gdyż dowodzą one bezceremonjalności autora w obchodzeniu się z faktami, niechlujności jego pisania i myślenia.

Ostatecznym celem książki jest niby uzasadnienie powstania u nas państwa narodowego. Autor nie zupełnie odkrywa tu karty: podczas kiedy wyraźnie zwalcza demokrację, parlamentaryzm, liberalizm, racjonalizm, naukę — o państwie narodowem wspomina tylko ogólnikowo zaznaczając, że uwolni ono Polskę od wpływów obcych i stworzy „naturalną hierachję". Następnie mówi: „władza w narodzie i w jego państwie oprze się wtedy znowu na mocnem tytule moralnym. W tytuł ten uwierzą wszyscy swoi w Polsce wszyscy Polacy i ci Białorusini, czy Rusini, którzy z narodem polskim cywilizacyjnie i uczuciowo współżyją". Autor łudzi się, że to państwo narodowe niedługo już powstanie.

Zaznaczyłem już, że faktycznie podstawą jego ma być pozbawienie praw politycznych mniejszości narodowych.

Autor ma mechanistyczny pogląd na państwo i zdaje mu się zapewne, że zapomocą jakiegoś dekretu pozbawi praw politycznych 11, czy 12 miljonów obywateli państwa polskiego. Są to wolne żarty. Ale o całej tej koncepcji napiszę jeszcze artykuł specjalny. W tem państwie narodowem, wszystko, w przekonaniu autora będzie harmonijnie rozstrzygnięte, dlatego że będzie ono narodowem.

Oto logika tępego endeka.

Widzimy tę harmonijność w Niemczech współczesnych, widzimy ją w Polsce w XVII wieku, kiedy jeszcze zepsutą nie była przez liberałów, demokratów, socjalistów i innych.

Bajeczki takie opowiadać można dzieciom do lat 13, czy 19, ale nie ludziom dorosłym.

W każdym razie wdzięczność należy się Gluzińskiemu, za tę szczerość choć nie całkowitą. Wiemy teraz czego pragną nasi młodzi endecy i potrafimy z tego wyprowadzić konsekwencje. Państwo narodowe jak to ładnie brzmi, tak jak demokracja narodowa. Endecy zawsze uważali i stosowali się do tego, aby działać na ludzi za pomocą sympatycznych wyrazów.

O innych utworach endeckich pomówię jeszcze przy sposobności. Państwo narodowe, które ma zacząć swą akcję od usunięcia mniejszości narodowych od praw politycznych, obdarzyłoby nas czemś w rodzaju ustroju obecnych Niemiec, co już wynika z tych zachwytów nad narodowym socjalizmem. Pod pozorem solidarności narodowej, zaprowadzonoby później rozmaite instytucje uniemożliwiające walkę klasy robotniczej o swe prawa i interesy.

ANTONI BERGMANN

Robotnik jako współtwórca państwa

Rozwój wypadków od chwili, kiedy w świadomości ludzkiej wyłaniać się poczęła myśl o niepodległości Polski aż do czasu obecnego, wykazuje wzrastające stale wyczucie właściwego podziału ról między czynnikami, które współdziałały w rozpowszechnieniu najpierw idei niepodległości a później w samej walce o jej urzeczywistnienie.

Poza jednostkami o wyższem poziomie intelektualnym, które można było znaleźć we wszystkich warstwach społecznych, jedynem środowiskiem masowem, w którem żyła myśl o niepodległości była warstwa robotnicza. Wyzwolenie społeczne łączyło się w jej dążeniach z wyzwoleniem politycznem tem łatwiej, że w jednym i drugim kierunku przeciwnik był ten sam: zaborca i polski obóz ugodowy.

Ta geneza polskiej myśli niepodległościowej, która spowodowała, że pierwszymi realizatorami jej byli mieszkańcy suteren, ludzie spędzający długie godziny na ciężkiej pracy w warsztacie fabrycznym czy w podziemiach kopalni, bezdomni i inteligencja pracująca, i że ci właśnie ludzie mają prawo nosić miano pierwszych żołnierzy współczesnej Polski — świadczy, że ponad wszelkim materjalizmem życiowym, ponad potrzeby chleba codziennego i dachu nad głową dla siebie i rodziny — istnieje u naszego robotnika bezkresna dziedzina zainteresowania idealnego, w której obracając się, może się stać równie twórczym, jak w całodziennej pracy zawodowej.

Kierunki socjalistyczne głoszą, że „robotnicy nie mają ojczyzny". Jest to dogmat, na którym oparła się polityka międzynarodowego socjalizmu w ciągu dziesiątków lat, a któremu życie samo wręcz kłam zadało. Nie mówiąc już o warstwach robotniczych innych narodów, polska klasa pracująca stwierdziła wobec własnego społeczeństwa i wobec świata, że ojczyznę ma, że miał ją polski robotnik, chłop i inteligent pracujący nawet wtedy, gdy o tem im głośno mówić nie było wolno, że polski robotnik nosił ją w duszy wypieszczoną i gorąco umiłowaną tak długo, aż ją w rzeczywistość zamienił. A gdy abstrakcyjne własnej naszej ojczyzny pojęcie w uznaniu przez inne narody państwo zamienił, to — choć temsamem zainteresowanie codzienne na dziedzinę swego własnego bytu skierował — niemniej żywo i niemniej silnie zrozumienie ważności ojczyzny zachował.

To, co dawniej ojczyzną się nazywało w odróżnieniu od państwowości, obcej i wrogiej, dziś identyfikuje się z państwem. Wbrew wszystkiemu, co robotnik względnie chłop słyszy z ust swoich i obcych t. zw. przyjaciół, wbrew wszelkim inspiracjom, że Rzeczpospolita nasza, to nie jego ojczyzna, że celem jego winno być takie lub inne umieszczenie się w międzynarodowości z pominięciem własnego narodowego interesu — świadomość własnej państwowości w nim żyje i tworzy żelazny kapitał, na które nietylko zdrowe myślące własne społeczeństwo, ale i narody wszystkie liczą.

Olbrzymia siła rozpędowa ducha patrjotycznego polskiej klasy pracującej, która tylekrotnie zdała egzamin — by wspomnąć tylko o genezie naszego ruchu niepodległościowego, czy o takich momentach historycznych, jak rok 1918-ty, rok 1920-ty, powstanie Górnośląskie — dziś nic na swej niezłomności nie utraciła. W miarę jednak zmiany stosunków kierunek jej wykorzystania także się zmienia.

W chwili obecnej, gdy gmach państwowości naszej już jest gotowy, gdy granice już ustalone i cały wysiłek narodu winien być skierowany na skonsolidowanie się wewnętrzne Państwa, kiedy znajdujemy się na zwolnionej od zanieczyszczeń niewoli i własnych przywar drodze odbudowy ojczyzny — rolą polskiego świata pracy jest stanąć do konstrukcyjnej pracy obok innych czynników. Umiłowanie ojczyzny, ugruntowane i uzupełnione zostaje umiłowaniem i zrozumieniem państwa.

W ślad za tem rola ludu pracującego innego charakteru nabiera. Bogaty w swe kwalifikacje współtwórcy bogactwa narodowego i dumny ze swego udziału w utrzymaniu niepodległościowego kierunku ideowego w latach niewoli, wstąpił on w niepodległą ojczyznę jako zasłużony jej gospodarz. Ten zasób jego wartości materjalnych i moralnych zmienia zasadniczo jego rolę w dalszej rozbudowie państwowości polskiej.

Lud pracujący stał się współtwórcą bogactwa narodowego i siły państwowej i powinien zająć godne miejsce w zarządzie państwowym, miejsce,

— odpowiadające jego udziałowi w wysiłku twórczym.

Dzisiaj, niestety, usuwa się świat pracy od udziału w rządach, czego wyrazem są ordynacje wyborcze, uchwalone przez klub BB.

Przed klasą pracującą w dobie obecnej, w momencie szczególnie napiętego pochodu naprzód staje ważne zadanie: *Zdecydowanie się na formę i treść dalszego życia społecznego.* Świetna tradycja pracy i wartości moralnej masy robotniczej, instynkt samozachowawczy indywidualny i państwowy — nakreślają robotnikowi dostatecznie jasno kierunek dalszych jego kroków ku uzgodnieniu działania czynnika pracy obok innych twórczych w społeczeństwie czynników dla ogólnego, wspólnego, wszystkich i całości państwowej, dobra.

Pozostaje jeszcze *forma działania.* Musi bowiem się znaleźć taka forma, któraby zdołała wyprowadzić pracę z jej dzisiejszego rozbicia, z jej bezsiły w stosunku przedewszystkiem do siebie samej. Jeśli aspiracje warstwy pracującej do efektywnego i oficjalnego współudziału w rządzeniu państwem są słuszne, o tyle racjonalne będą one dopiero i tylko wtedy, gdy sama w sobie zdoła ona skonsolidować się i wytworzyć jednolitą siłę społeczną. Społeczne zorganizowanie się pracy — to pierwsze zadanie dla warstw robotniczych. Wołają o nią rozumni ludzie pracujący, woła Rzeczpospolita, potrzebująca silnych fundamentów.

Zogniskowanie wysiłku organizacyjnego na podstawach wspólnych wszystkim, absolutnie wszystkim robotnikom, a więc na tem co stanowi istotę ich funkcji społecznej oraz ich celów, to jedyna droga do zajęcia właściwego miejsca w współrządzie państwem.

Tylko w tej formie realny czynnik pracy może doprowadzić do urzeczywistnienia swego celu: *niepodległości pracy w niepodległej ojczyźnie, wolnej i demokratycznej.*

Dzisiejszy stan rzeczy jest zaprzeczeniem tego ideału...

ROMAN TUNKIEWICZ

Polska klasa robotnicza

Ciąg dalszy

III.

W czasach kościuszkowskiej insurekcji.

Aż do powstania kościuszkowskiego klasa robotnicza w Polsce nie występowała na arenę życia politycznego; nie odgrywała w niem roli czynnej, lecz zamkniętą była w kole swych spraw zawodowo-gospodarczych, spełniając swe obowiązki wobec miasta i państwa.

Taki stan rzeczy był zrozumiały wobec stosunków socjalno-politycznych w Rzeczypospolitej.

Kiedy jednak mieszczaństwo w swej warstwie wyższej wystąpiło na arenę życia politycznego w 1789 roku, domagając się słusznie praw wolnościowych dla swych członków, samorządu, uwalniającego miasta od ucisku starostów i dopuszczenia przedstawicieli miast do Sejmu, a mieszczan do urzędów świeckich, wojskowych i duchownych — wówczas ruch rozlał się i na sfery rzemieślniczo-robotnicze, zwłaszcza w Warszawie. Zaczęły one bacznie przyglądać się wypadkom politycznym w Polsce, starały się wniknąć w ich treść i wreszcie brać w nich udział. Do tego przyczyniło się bardzo uchwalenie Konstytucji 3 maja. Kiedy wreszcie wybuchło powstanie Kościuszki, ludność robotniczo-rzemieślnicza z udziałem majstrów zelektryzowaną została tym wypadkiem dziejowym i wziąwszy udział w wypędzeniu Rosjan z Warszawy, zdała świetny egzamin z dzielności i patrjotyzmu.

Spisek poprzedził wybuch powstania w Warszawie w dniu 17 kwietnia 1794 roku. Uczestnikami jego byli oficerowie wojska polskiego oraz cywilni, jak posłowie, księża, sekretarze rozmaitych dygnitarzy i działaczy politycznych, wybitni mieszczanie, jak naprzykład Kapostas, oraz liczni urzędnicy. Do spisku na 7 dni przed wybuchem powstania wprowadził Jana Kilińskiego, majstra szewskiego, starszego cechu i radnego Warszawy, wybitny członek spisku, jeden z najbliższych ks. Hugona Kołłątaja, najznakomitszego wówczas działacza radykalnego i pisarza politycznego — ks. Józef Mejer.

Zapewne jednak, w ówczesnej gorącej atmosferze politycznej w stolicy, Kiliński już agitował za powstaniem na własną rękę, gdyż ogólnie spodziewano się jego wybuchu.

W spisku były żywioły umiarkowane i skrajne. Póki pierwsze miały przewagę, nie wciągano Kilińskiego do akcji, lękając się jego wpływu i radykalizmu. W 1794 roku był on człowiekiem młodym, miał bowiem lat 34, właściwie nie odebrał on żadnego wykształcenia i źle pisał, ale obdarzony był umysłem nader żywym, posiadał dużo zdrowego rozsądku, przenikliwości, szybką orjentację w wypadkach bieżących, olbrzymią energję oraz umiejętność oddziaływania na ludzi. Do warstw wyższych odnosił się z krytycyzmem, nie dotyczyło to oczywiście czynnych i dzielnych spiskowców, należących do obozu radykalnego.

Związkowcy, tworzący tajną organizację spiskową, wciągnąwszy go do pracy, chcieli w nim mieć przedstawiciela klasy rzemieślniczej bardzo popularnego, który mógł im zapewnić jej poparcie. Używali go jednak raczej do roli reprezentacyjnej, niż czynnej. Oczywiście nie mogło mu to wystarczyć. To też postanowił stworzyć organizację własną. Oparł się na dwu najliczniejszych wówczas w Warszawie cechach, na kowalskim i rzeźnickim, wciągając ich starszych cechowych, kowala Jana Marjańskiego i rzeźnika Józefa Sierakowskiego, oraz starszego konfraternji kupieckiej (związku kupieckiego) Antoniego Kriegera; niezależnie od tego wszedł w bliskie stosunki ze starszymi związków czeladniczych w Warszawie. Dopiero na kilka dni przed wybuchem powstania, na żądanie radykalnych członków spisku, wciągnięto go do najważniejszych prac przygotowawczych, z udziału w których wywiązał się świetnie.

W Warszawie przed wybuchem powstania stosunkowo do lat poprzednich mało było arystokracji i wyższej szlachty. Koła te przebywały albo

w swych majątkach, albo zagranicą. Ci, co pozostali w stolicy, naogół trzymali się zdaleka od tych rewolucyjnych przygotowań.

„I nawet — pisze prof. Tokarz w swej nowej i cennej książce[5]) — wtedy, gdy w stolicy już zapanował spokój, a zamożniejsze mieszczaństwo wyszło na ulicę: tak chętnie pogarnęło się do podpisywania „akcesów do powstania narodowego pod naczelnictwem Tadeusza Kościuszki", udział przedstawicieli tych głośniejszych nazwisk w tym akcie był bardzo skromny, podobnie, jak udział wyższego duchowieństwa warszawskiego. Patrycjat miejski, mimo wszystko zachował się lepiej. Przed wybuchem magistrat zwalczał agitację związkowych; później próbował na ratuszu Starej Warszawy stawiać nieśmiało czoło nakazom powstańczym Kilińskiego, a gdy mu się to nie udało, schronił się do zamku królewskiego; wkrótce jednak wraz z tymi, którzy przeczekali te dwa dni walki (17 i 18 kwietnia — przypisek autora artykułu) u siebie w domach, akces uczynił zbiorowo i wziął udział w organizowaniu władz powstańczych".

W walkach ulicznych z wojskiem rosyjskiem wzięła natomiast dość liczny udział biedna szlachta. Było jej dość dużo wówczas w stolicy, bowiem w 1792 roku tworzyła koło ćwierć ilości mieszkańców, a chociaż w 1794 r. zapewne liczba jej się zmniejszyła w pewnym stopniu, to i tak musiało być jej dużo. Mniejsza jej część składała się z tych, co sprzedali swe majątki i żyli jako tako z procentu, większa znacznie składała się z takich, co wszystko stracili i szukali w Warszawie zarobków, starając się czy to o urząd jakiś, czy o zarząd domu; niektórzy utrzymywali remizy i dorożki. Byli to ludzie obeznani z rzemiosłem wojskowem, z dużym temperamentem i w walkach pożyteczną odegrali rolę. Wielu z nich biedowało i żyło nielepiej od rękodzielników. Pod względem politycznym był to żywioł rozmaity, pomiędzy nimi byli i tacy, co skompromitowali się udziałem w Sejmie grodzieńskim i stosunkami z ambasadą rosyjską, a obecnie, pod wpływem ożywionych uczuć patrjotycznych chcieli poprawić swe błędy.

„Ze szlachty — pisze prof. Tokarz — składał się wyłącznie świat urzędniczy, który czynny udział wziął w walkach. Członkowie zakonów żebrzących brali też w nich udział. Z cudzoziemców największy udział brali Francuzi, których duża stosunkowo liczba brała udział w spisku".

Jest rzeczą nader charakterystyczną, że tarcia wyznaniowe i narodowościowe, istniejące wśród warstwy robotniczo-rzemieślniczej w Warszawie oraz wśród drobnomieszczaństwa, w przededniu wybuchu powstania oraz podczas jego trwania, za jednym wyjątkiem, ustały. Warto się nad tem zastanowić. Dlatego też zatrzymam się na tej sprawie.

Pomimo tego, że niedawno jeszcze były w stolicy ostre starcia z Żydami, nietylko nie powtórzyły się one, lecz przeciwnie nawet nastąpiła pewna poprawa wzajemnych stosunków.

W kołach oświeconych spiskowców, jak stwierdza prof. Tokarz, istniała tendencja wzięcia w opiekę Żydów biednych, proletarjatu, przed wyzyskiem bogatych, związanych przez Szmula Jakubowicza z wpływami rosyjskimi w Rzeczypospolitej. Spiskowcy, działając w kierunku wskazanym przez Kościuszkę, szukali porozumienia z Żydami oświeconymi. Żydów przyjmowano do milicji. Przyjęto też podpis Berka Joselewicza do księgi akcesów do powstania narodowego. Później nawet w relacjach, mających charakter urzędowy, podkreślano silnie rolę ich w walkach o Warszawę; a jeżeli nawet przesadzano w tem, jak przypuszcza wspomniany historyk, to w każdym razie i on skromnego ich udziału nie zaprzecza, a tembardziej nie można mówić o ich wrogim nastroju w stosunku do Polaków. Nastrój taki mógł istnieć u spekulantów i bogatych Żydów, mających interesy z ambasadą rosyjską i z dowódcami wojsk Katarzyny w Polsce; obcy był on jednak proletarjatowi żydowskiemu.

A choć później znowu były skargi rzeźników polskich na żydowskich, to jednak powstawały one na tle pewnych antagonizmów gospodarczych a nie politycznych. To też w czasie walk o Warszawę nie ma żadnych objawów wystąpień przeciwko Żydom.

Niemcy byli bardzo silni w Warszawie. W ich rękach znajdował się prawie cały handel stolicy, bowiem oni dawniej od Żydów w niej się usadowili i część ich składała się z ludzi zamożnych.

Gdy we wrześniu 1794 roku wymieniano gotówkę na obligacje rządowe i bilety skarbowe, to na 140 kupców, biorących udział w tej operacji, znalazło się 107 mających nazwiska niemieckie, a zaledwie 33 polskie. Kiedy zaś komisja wojenna spisywała kupców sukienników w Warszawie, to na 11 dwu miało nazwiska polskie, osiem niemieckie, jeden francuskie; a podczas tworzenia się milicji kongregacji kupieckiej wśród jej oficerów dwa nazwiska były polskie, a pięć niemieckich. Naturalnie przypuścić należy, że część osób z nazwiskami niemieckiemi była już zasymilowaną i uważała się za Polaków, ale większość tych nazwisk obcych oznaczała Niemców.

Na 35 cechów, które istniały wówczas w Warszawie, tylko szewcy, garncarze, furmani, rymarze, cyrulicy, kowale, rzeźnicy i rybacy posiadali zdecydowaną większość polską; ślusarze i miecznicy byli w połowie swej Polakami i w połowie Niemcami; wśród mydlarzy, szklarzy, garbarzy, rękawiczników, mosiężników, gwoździarzy, introligatorów, kominiarzy, jubilerów, tokarzy, piernikarzy rządzili, pisze prof. Tokarz, wyłącznie Niemcy, zatrudniając niemal wyłącznie czeladź niemiecką. Warszawa posiadała 84 młynów konnych, wodnych i wiatraków; na 64 ich właścicieli, Polaków było 38, Niemców 26.

Z tą siłą żywiołu niemieckiego w Warszawie liczyć się musieli kierownicy powstania i liczyli się istotnie, nie wychodząc na tem źle. Wśród tych Niemców była garstka sprzyjająca Rosji, do niej należała starszyzna kościelna luterańska. Poglądy jej maluje Jakób Ragge w swych pamiętnikach.

Kierownicy powstania ocenili słusznie sytuację, nawiązując stosunki z Niemcami należącymi do klasy robotniczo-rzemieślniczej i drobnego mieszczaństwa, za pośrednictwem Kilińskiego.

Stwierdzić też należy, że już 19 kwietnia Niemcy zaczęli się wpisywać w księgi akcesów do powstania. Na 2126 podpisów znalazło się 125 podpisów niemieckich, pisanych gotykiem. Duża część zapisanych tutaj, pisze prof. Tokarz, owych Trauguttów, Kurtzów, Schleglów, Gerlachów, Fischerów, Dahlenów, Ulrychów spełniła w powstaniu uczciwie swój obowiązek.

W czasie powstania spotykamy się z Niemcami na stanowiskach wójtów cyrkułów w Warszawie, setników i dziesiętników; z wybieraniem ich na adjutantów municypalnych przy królu, z przyjmo-

[5]) Wacław Tokarz: Insurekcja Warszawska 17 i 18 kwietnia 1794 r. Lwów 1934 r.

waniem różnych rachunków niemieckich przez skarb.

Wielkie ruchy socjalno-polityczne, wysuwające szerokie hasła wolności, równości, rozległych reform społecznych mają to do siebie, że przyciągają nawet żywioły obce, zainteresowane w ich urzeczywistnieniu na równi z żywiołami miejscowemi. Jest rzeczą charakterystyczną, że w Galicji i w Poznańskiem, kiedy polskie spiski patrjotyczno-demokratyczne zeczęły działać na szerszą skalę, to do tej akcji rewolucyjnej weszło dużo cudzoziemców Niemców, Węgrów, częściowo i Czechów. W Galicji nawet na prowincji zbuntował się jeden pułk węgierski.

Zauważyć też należy, że w takich momentach dziejowych, na tle prądów powyższych, lepsze żywioły obce przedewszystkiem się asymilują.

Francja przed Wielką Rewolucją składała się z wielu różnorodnych prowincyj, mających odrębne prawa pisane i obyczajowe, ludność których mówiła, w niektórych z nich, językiem odrębnym, bretońskim, prowansalskim, baskijskim, flamandzkim i niemieckim. Już w czasie tej rewolucji różnice te zatarły się i nastąpiła jedność polityczno-kulturalno-narodowa, na podstawie nowej ideologji, opartej na zasadach 1789 roku.

Gdyby w Polsce powstanie kościuszkowskie dłużej trwało, gdybyśmy posiadali silne centra miejskie z liczną ludnością mieszczańską i robotniczą, gdybyśmy zdołali przeprowadzić i utrwalić szerokie reformy — wówczas z tej różnorodnej ludności Rzeczypospolitej wytworzyłby się naród jednolity. Ale to się nie stało, przeszkodziła temu struktura naszego społeczeństwa, niedorozwój miast, nadmiar szlachty, połowiczność reform. Można i trzeba nad tem ubolewać, ale trzeba uznać ten fakt, że obecnie zapóźno jest na to, aby wszystkie nasze mniejszości narodowe spolonizowały się, gdyż wyodrębniły się już bardzo i weszły na drogę własnego rozwoju narodowego. Jedynie katolicka część Białorusinów może z czasem się zbliżyć do nas.

Prof. Tokarz na podstawie ścisłych badań, obliczenia wojsk polskich i rosyjskich, dochodzi do tego słusznego wniosku, że: wypędzenie wojsk Katarzyny z Warszawy nie mogłoby się udać bez bardzo czynnego, ofiarnego i bohaterskiego udziału ludu warszawskiego. A kto przedewszystkiem lud ten stanowił? Oczywiście klasa robotniczo-rzemieślnicza, następnie zaś drobnomieszczaństwo, inteligencja pracująca (urzędnicy).

Tak więc pierwszy występ naszej klasy pracującej na szerszej arenie ogólno narodowej i państwowej był świetny.

W innych miastach polskich, może za wyjątkiem jednego Wilna, ruchu takiego, jak w Warszawie, nie było. Nie dlatego, aby uczucia ich mieszkańców w stosunku do państwa i narodu były inne niż w Warszawie, lecz z tego przedewszystkiem względu, że miasta te były za małe, aby móc ruch taki wytworzyć, jak w stolicy. Lwów w 1794 roku był poza granicami Polski, należąc już od lat 21 do Austrji. Poznań, Kraków, Lublin miały od 12 do 20 tys. conajwyżej mieszkańców, z których procent znaczny stanowili Żydzi naogół niebardzo zdatni do walki orężnej. Niestety, nie znamy tak dokładnie stosunków w Wilnie, jak w Warszawie, aby ocenić ściśle udział ludu miasta tego w akcji Jasińskiego, która usunęła wojska rosyjskie, a następnie starała się utrzymać stolicę Litwy.

Wszakże pewnem jest, że w Wilnie ludność miasta czynny brała udział w walce patrjotycznej oraz, że wśród niej rolę główną, a przynajmniej bardzo wybitną grały koła rzemieślnicze.

Już sam Hugo Kołłątaj dziwił się, skąd lud warszawski zdobył się na taką energję i wytrwałość w walce.

Prof. Tokarz omawia obszernie przyczyny niezadowolenia szerokich mas w stolicy. Dla braku miejsca nie będę tu wchodził w szczegóły tego zagadnienia, wskażę tylko główne jego powody.

Otóż już w listopadzie 1792 roku pogorszenie się stanu ekonomicznego było widoczne. Wojna z Rosją spowodowała zastój w interesach, wyjazd wielu osób ze stolicy, w listopadzie tego roku powstały w mieście fermenty tak, że obawiano się nawet wybuchu jakiegoś powstania. W początkach 1793 roku nastąpiło bankructwo banków, co sytuację pogorszyło, wreszcie drugi podział Polski, utrata, dzięki niemu, pewnych prowincyj, utrudnienia przez rząd pruski dowozu produktów, z nowozabranych przez niego terytorjów do Warszawy, w większym jeszcze stopniu pogorszyło sytuację ekonomiczną. Zaostrzały się też stosunki pomiędzy wojskiem rosyjskiem a mieszkańcami stolicy.

Rosjanie ciągle spodziewali się jakiegoś wybuchu. I pragnęli go rzeczywiście, gdyż Katarzyna chciała nawet sprowokować jakiś ruch rewolucyjny, aby skończyć z Polską. Niespodziewała się jednak, aby powstanie mogło przybrać takie duże rozmiary, jak się to stało.

Wreszcie Kiliński rozpowszechnił w mieście przekonanie, oparte na pewnych wiadomościach, że Rosjanie zapewne podczas świąt przedsięwezmą jakieś kroki zdecydowane przeciwko mieszkańcom stolicy, celem ukarania ich za nurtujące fermenty rewolucyjne.

Wszystkie te przyczyny oczywiście są bardzo ważne, ale, zdaniem mojem, dwie inne były równie ważne, a może nawet ważniejsze od powyższych.

Mam tu na myśli: 1) przeświadczenie ludności, że Polska weszła na drogę reform, które zniweczyła Targowica przy pomocy Rosji, że, chcąc wrócić do nich, trzeba wypędzić Moskali z Polski; 2) wpływ Wielkiej Rewolucji Francuskiej na umysły.

Nie trzeba bowiem zapominać, że wiadomości z Zachodu przenikały do Warszawy, że omawiano je w rozmaitych kołach nietylko u góry, lecz także i u dołu, że wreszcie dół ten zaczął mieć zaufanie do sił własnych, a być może nawet, że liczono na pomoc Francji rewolucyjnej.

W psychice ludu warszawskiego nastąpił przełom w latach 1790 i 1791.

Wspomniałem wyżej, że w czasie walk z wojskiem rosyjskiem w Warszawie antagonizmy narodowościowo-wyznaniowe zanikły na czas jakiś, za jednym wyjątkiem. Tak było istotnie. Wyjątek ten stanowił antagonizm między ludem warszawskim bez różnicy narodowości i wyznań a kupcami i rzemieślnikami rosyjskimi, których wówczas dużo było w Warszawie.

W czasie walk zniszczono ich sklepy, warsztaty i dobytek.

Na zakończenie muszę wspomnieć jeszcze o ruchu warstwy robotniczo-rzemieślniczej w dniach 9 maja i 28 czerwca 1794 r. Ruch ten jest zupełnie samodzielny i wyodrębnia się od dni powstania 17 i 18 kwietnia tegoż roku.

Czego on chciał i jakie przyjął formy?

Masy pracujące były niezadowolone z tego że władze przeciągają proces przeciwko znanym hersztom Targowicy i szpiegom rosyjskim. Niezadowolenie to było całkowicie zrozumiałe i słuszne.

Przecież były to czasy walki na śmierć i życie

Polski z Rosją i Prusami. Tymczasem naczelne władze powstańcze, zamiast sprawy takie szybko załatwiać, traktowały je w sposób dziwnie lekkomyślny. Lud roboczy wraz z kilku osobami z otoczenia Kołłątaja, do których należał ks. Mejer i Konopka, dawny sekretarz podkanclerzego, postanowił wywrzeć nacisk na władze, aby winni zostali ukarani.

Nie bez wpływu pozostał tu fakt powieszenia, na rozkaz Jasińskiego, we Wilnie, dnia 25 kwietnia, jednego z najwstrętniejszych targowiczan, hetmana W. Lit. Szymona Kossakowskiego.

W nocy z dnia 8 na 9 maja zapanował w Warszawie ruch gorączkowy. Wybudowano 4 szubienice: trzy na Starem Mieście i jedną na Krakowskiem Przedmieściu, przed kościołem bernadyńskim z napisem: „Kara na zdrajców Ojczyzny".

Gdy 9 maja zebrała się Rada Zastępcza Tymczasowa na Ratuszu na Starem Mieście, tłum pod przewodnictwem ks. Mejera i Konopki domagał się stracenia 4 zdrajców: hetmana W. Kor. Ożarowskiego, polnego litewskiego Zabiełły, biskupa Kossakowskiego (brata hetmana) i Ankwicza, posła na Sejm grodzieński (rozbiorowy). Początkowo Rada opierała się temu żądaniu, ale gdy tłum uzbrojony w pałasze i pistolety przybrał groźną postawę — ustąpiła i kazała ogłosić wyrok śmierci na tych łotrów. Tegoż samego dnia odbyła się egzekucja przy okrzykach „niech żyje rewolucja!".

Po tych wypadkach radykalna część mieszczaństwa nabrała poczucia swej siły i spowodowała wysłanie delegacji do Kościuszki, po zorganizowaniu Rady Najwyższej Narodowej, z protestem, że instytucja ta wybraną została bez udziału mieszczaństwa. Wiadomość o kapitulacji Krakowa, przypisywana zdradzie, wywołała wielkie oburzenie w Warszawie.

Znany już nam Konopka, dnia 27 maja rozpoczął agitację w mieście przeciwko władzom, które znowu zwlekały z wydaniem wyroków na zdrajców. Tłumy zebrały się w noc późną dla stawiania szubienic. Na drugi dzień Rada Najwyższa Narodowa nakazała policji znieść szubienice, a kiedy ta próbowała to wykonać, tłum napadł na nią, pociął szablami i udał się na ratusz, domagając się wykonania wyroku śmierci na zdrajców.

Prezydent miasta Zakrzewski, po porozumieniu się z Radą Najwyższą Narodową, żądaniu temu odmówił, wówczas tłum rzucił się do więzień. Powieszono ks. Antoniego Czetwertyńskiego, biskupa Massalskiego, kilku szpiegów oraz, niestety, parę osób niewinnych. Wywleczono też biskupa Skarszewskiego i marszałka Moszyńskiego. Pierwszy miał się okupić datkiem pieniężnym, co dowodzi, że do tłumu dostały się jednostki liche, drugiemu uprosił życie prezydent Zakrzewski.

Rada Najwyższa Narodowa kazała aresztować ks. Mejera i Konopkę, oraz inne jeszcze osoby. Według wyroku bezpośredni sprawcy tych wypadków zostali ukarani śmiercią, inni więzieniem. Konopka skazany został na wygnanie, a ks. Mejer uwolniony.

Wypadki te w Warszawie rzuciły postrach na zdrajców i ludzi umiarkowanych. Posypały się zarzuty na Kołłątaja, jako na sprawcę moralnego tych szubienic, a i historycy niektórzy z oburzeniem piszą o tych gwałtach.

Sąd ten słusznym nie jest, czy Kołłątaj wywołał te wypadki, czy nie, tego nie wiemy; natomiast pewnem jest, że zarzucał Kościuszce i innym zbytnią łagodność w stosunku do targowiczan i tych wszystkich, którzy przeciwstawili się powstaniu, w czem miał rację. Kołłątaj chciał poruszyć szerokie masy i zapewne wywołać ruch z dołu, widząc, że sama góra nie jest zdolną do silnej akcji.

Co zaś do samych wypadków samosądu, to zapewne nie jest dobrze, gdy tłum bierze na siebie rolę sędziów i wykonawców wyroków sądowych. Ale z drugiej strony zauważyć należy, że powolność władz powstania dla zupełnie jawnych zdrajców, co do winy których, we wszystkich prawie powyższych wypadkach wątpliwości nie było i być nie mogło. musi złagodzić sąd nasz o inicjatorach i wykonawcach tego ruchu.

Pożałowania godnem jest, że zginęło parę osób podobno niewinnych, których nazwiska i sprawy nas niedoszły. Ale słusznem jest, że tacy Kossakowscy Massalscy, Ożarowscy Zabiełłowie Ankwiczowie i inni zginęli.

Czasy Księstwa Warszawskiego.

Wojna 1792 roku z Rosją, powstanie Kościuszkowskie, będące koniecznemi objawami obrony Narodu i Państwa, z natury rzeczy musiały spowodować wyniszczenie kraju i ruinę gospodarczą. Większość zakładów przemysłowych przestała istnieć. Rzeczpospolita ostatecznie podzielona w r. 1795 pomiędzy trzy państwa Rosję, Austrję i Prusy, przestała tworzyć całość polityczną; poszczególne jej ziemie, znalazły się pod władzą rządów tych państw.

Pierwsze lata po trzecim rozbiorze są okresem gospodarczego zastoju, na tle ogólnego zubożenia.

Lwia część ziem rdzennie polskich, to znaczy zamieszkałych w przeważającej większości przez Polaków, wraz ze stolicą Warszawą, dostała się Prusom. Państwo to, wyrosłe z połączenia Prus Wschodnich, będących w zależności hołdowniczej od Polski, z Brandenburgją, dzięki błędom politycznym naszych rządów — stało się już w końcu pierwszej połowy wieku XVIII potęgą militarną: posiadało, w stosunku do swej ludności i przestrzeni, bardzo liczne wojsko, dobrze zaopatrzony skarb i sprężystą administrację.

Królowie pruscy, chcąc wzmocnić swe państwo i zwiększyć jego ludność, otworzyli szeroko jego wrota dla emigrantów z innych krajów, w których innowiercy (nie katolicy) prześladowani byli z powodów religijnych, zapewniając im tolerancję. Dzięki temu z Francji, Austrji, oraz niektórych innych państw przybyło do Prus bardzo dużo ludzi, przeważnie rzemieślników, przemysłowców, kupców a nawet i finansistów, którzy, osiedliwszy się w Prusach, ożywili znacznie ich życie gospodarcze, przynosząc ze sobą pracę, fachowe uzdolnienie w różnych dziedzinach, a częściowo i kapitał. Szczególnie ważne znaczenie dla Prus miało osiedlenie się u nich t. zw. hugenotów, to znaczy protestantów-kalwinów, których wypędził z Francji król Ludwik XIV w końcu wieku XVII.

Francja stała wówczas znacznie wyżej od Prus pod względem gospodarczym, kulturalnym i politycznym; to też hugenoci, znalazłszy się w nich, rozpoczęli pożyteczną pracę na różnych polach i zajęli wkrótce wybitne stanowiska, na rozmaitych posterunkach. Już w drugiem, a ostatecznie w trzeciem i czwartem pokoleniu, stali się dobrymi Prusakami.

Rząd pruski dbał o rozwój ekonomiczny państwa, a więc porządkował stare i przeprowadzał nowe drogi, celem ułatwienia komunikacji, zarówno ze względów strategicznych, jak i handlowych,

starał się też, przedewszystkiem ze względów finansowych o rozwój przemysłu i handlu.

Już przed trzecim rozbiorem Polski, jak widzieliśmy, bo jeszcze za Fryderyka II w końcu pierwszej połowy wieku XVIII — Prusy zagarnęły większą część polskiego Śląska, wraz z którym nowonabyte w trzech rozbiorach ziemie polskie stworzyły razem bardzo znaczną część jego państwa. Ani on jednak, ani jego następcy nietylko nie troszczyli się o ludność polską, lecz przeciwnie robili wszystko, aby ją zniemczyć, w tym też celu sprowadzali na nie osadników niemieckich, wśród których byli i wykwalifikowani rzemieślnicy, od których miejscowa polska ludność nauczyła się nie jednej rzeczy. Dawne województwo poznańskie, które pod względem gospodarczym, za rządów polskich, stało dość wysoko, a nawet wyżej od większości innych ziem naszych — zwolna zaczęło się podnosić ekonomicznie.

Napoleon I rozbił Prusy i byłby je całkowicie, jako państwo zniweczył, gdyby nie wstawiennictwo cara Aleksandra I, z którym musiał się liczyć. Dzięki porywowi patrjotycznemu Polaków, który zbiegł się z interesami Francji i Napoleona I — powstało Księstwo Warszawskie, jako państwo formalnie niepodległe, złączone unją z Saksonją przez osobę wspólnego monarchy; faktycznie oba te państwa zależały od Napoleona. Ale powstanie Księstwa Warszawskiego w 1807 r. miało ogromne, dobroczynne znaczenie dla naszego narodu. Było ono bowiem zapoczątkowaniem odbudowy Polski Niepodległej i wzmogło nasze siły, ożywiło naród i popchnęło go do wytężonej pracy politycznej dla jego dobra.

W 1807 roku zniesione zostało poddaństwo włościan, którzy mogli się swobodnie przenosić z miejsca na miejsce. W 1808 r. zaprowadzono kodeks cywilny Napoleona I będący wówczas najlepszym w Europie. Wszyscy obywatele stali się równymi wobec prawa. Były to zmiany doniosłe. Prawda, żałować należy bardzo, że, znosząc poddaństwo, nie przystąpiono do uwłaszczenia włościan, przez nadanie im ziemi na własność. Podnieść tu należy, że ówczesna nasza literatura polityczna rozumiała ten brak poważny w reformie i wskazywała na potrzebę przedsiębrania kroków, mający na celu zabezpieczenie włościan przed nędzą i proletaryzacją. Głos jej jednak nie wpłynął na społeczeństwo, a raczej na sfery szlacheckie, które rozumiejąc konieczność zniesienia poddaństwa, nie rozumiały jeszcze konieczności uwłaszczenia. Zwrócić też należy uwagę i na to, że prąd reformatorski z czasów sejmu czteroletniego, w zakresie społecznym osłabł już u nas od upadku państwa. Co zaś do Napoleona, to ten, zajęty wielkiemi planami wojenno-dyplomatycznemi, nie myślał wywierać nacisku w sprawie uwłaszczenia, tembardziej, że zależało mu na oparciu się o szlachtę, która go nie chciała.

Księstwo Warszawskie przyczyniło się znacznie do zdemokratyzowania się społeczeństwa polskiego.

Z chwilą zniesienia poddaństwa i zrównania wobec prawa wszystkich obywateli państwa — poczynająca się znowu rozwijać klasa robotnicza, stawała się stopniowo jednolitą pod względem prawnym. Stany przestały istnieć, jako grupy zamknięte i oddzielone od siebie prawnie; powstały na ich miejsce klasy społeczne, oparte na różnicach majątkowych, wynikających z różnego stanowiska ich w życiu gospodarczem.

Księstwo Warszawskie powstało, z przeważającej części zaboru pruskiego; w roku zaś 1809 zostało znacznie zwiększone przez dużą część zaboru austrjackiego.

Badania statystyczne wykazały, że na terenie Księstwa Warszawskiego wysunął się pod względem gospodarczym na plan pierwszy departament Poznański, stanowiący część dawnego województwa Poznańskiego. I tak: wykazał on połowę czeladzi rzemieślniczej w miastach całego państwa; z ogólnej liczby 4020 sukienników, przypada nań 2247, na bydgoski 1078, trzecie miejsce zajmuje departament kaliski z 291; na liczbę ogólną farbiarzy 216, przypada nań 73, drugie miejsce zajmuje departament bydgoski mający ich 38; również przedstawia on największe skupienie szewców i krawców, także zamieszkiwało w nim najwięcej płócienników 963, później dopiero najwięcej ich było w departamencie warszawskim; najwięcej młynarzy, zarówno na wsi jak i w miastach przypadało także na ten departament, bo 1332 i 1061, po nim dopiero największą ich ilość miał departament kaliski, których było w miastach i wsiach 1141, następnie szedł warszawski; kowali wiejskich także było najwięcej bo 1200, następnie wyróżniał się kaliski — 960, bydgoski 918, płocki 739; na plan pierwszy wysunął się również w szeregu rzemiosła w przemyśle spożywczym, wykazując największą ilość piekarzy 678, piwowarów 821, rzeźników 781, a dalej największą ilość kuśnierzy 657, garncarzy 398, stolarzy 405, bednarzy 295, ślusarzy 157, powroźników kamieniarzy, mydlarzy.

Departament zaś warszawski zajmował miejsce pierwsze w innych gałęziach wytwórczości i tak: murarzy było 323, cieśli 344, malarzy 112, blacharzy 11, a więc w lepszem budownictwie miejskiem oraz w galanterji: szmuklerzy było 106, garbarzy 161, grzebieniarzy 25, rymarzy 130, ogrodników miejskich 240, muzykantów 226. Ale nawet w przemyśle galanteryjnym, w niektórych jego gałęziach departament poznański miał przewagę nad warszawskim, tak np. miał on najwięcej rękawiczników 48 i mydlarzy 58.[1])

Naturalnie był to jeszcze przemysł rzemieślniczy, a nie wielkofabryczny.

Przytoczyłem te liczby szczegółowo, gdyż są bardzo charakterystyczne, dotyczą one początków Księstwa Warszawskiego, t. j. 1808 roku.

Jeżeli chodzi o przedsiębiorstwa większe od zwykłych rzemieślniczych, to zauważyć należy, że były to przeważnie gorzelnie w dobrach szlacheckich, które przynosiły dobre dochody i zarazem przyczyniały się do wzmożenia się pijaństwa.

Spis z roku 1810, lepiej przeprowadzony od poprzedniego, po przyłączeniu nowych terytorjów po wojnie z Austrją 1809 roku, stwierdza, w zakresie produkcji rzemieślniczo-przemysłowej wyniki spisu z 1808 r., z tą tylko różnicą, że zyskuje nieco departament warszawski, który jednak ustępuje naogół poznańskiemu, zajmując po nim miejsce pierwsze, następnie zaś idzie bydgoski. Przygotowania wojenne posunęły w pewnym stopniu przemysł żelazny, zwiększając jego rozmiary i powodując w nim większą niż poprzednio specjalizację, rozwinęło się też garbarstwo. Ponieważ Warszawa stała się stolicą państwa, więc podniosło to jej wytwórczość; przyłączenie małej zachodniej części pierwszego zaboru austrjackiego

[1]) Grossman Henryk: Struktura społeczna i gospodarcza Księstwa Warszawskiego. Nakł. Głównego Urzędu Statystycznego. Warszawa 1925 r.

z 1773, a następnie drugiego z 1795 miało ten skutek, że górnictwo się wzmogło dość znacznie, sól, żelazo, węgiel kamienny, siarka, miedź, ołów — stanowiły ważny nabytek dla pracy wytwórczej. Ponieważ dawni urzędnicy austrjaccy, kierujący państwowemi zakładami górniczemi, wraz z swymi pomocnikami i administracją opuścili je, rząd polski sprowadził więc fachowców z zagranicy. To samo dotyczyło i prywatnych zakładów górniczych.

Położenie gospodarcze włościan, po zniesieniu poddaństwa pogorszyło się ekonomicznie, gdyż ziemia została przy właścicielach, którzy też skorzystali z tego i usunęli dość dużo gospodarzy i włączyli uprawianą przez nich ziemię do obszarów folwarcznych. Fakt ten nieulega wątpliwości. Część włościan uległa więc całkowitej proletaryzacji i napływała do miast.

(Ciąg dalszy nastąpi).

S. SIENISŁAWSKI

Związek im. Jana Kilińskiego

Dziwna to była organizacja. Karna i ścisła, a jednocześnie oparta na demokratycznych zasadach uszanowania praw i godności osobistej uczestników, sprężysta w działaniu, a mocna ideowością swych członków — była ona wzorem, jaką być może i być powinna konspiracja polityczna młodzieży.

Istniała niedługo i dlatego może nie zdążyła zejść na bezdroża tarć wewnętrznych, wywoływanych walkami o władzę, ambicjami jednostek.

Dziwna to była organizacja — ów „Związek im. Jana Kilińskiego". Karność, w niej panująca, nie ustępowała w niczem karności oddziałów wojskowych, choć obywała się bez powierzchownego jej uzewnętrzniania; za to gotowość do służby Polsce, wówczas niewolnej, i ofiarność w tej służbie przewyższały bezwątpienia wszystko, co zaobserwować można było kiedykolwiek w innej podobnie licznej zakonspirowanej organizacji polskiej.

Dlatego też pamięć istnienia i działalności Związku przetrwać powinna — na wzór, na otuchę, na dowód, jak Polacy są w stanie się zrzeszać do wspólnej pracy dla celów idealnych; boć ta młodzież robotnicza, odrywana nieraz rozkazem organizacyjnym od zajęć zarobkowych, z oburzeniem odmawiała zwrotu utraconego, a tak potrzebnego zarobku.

W tych młodych chłopcach, w tych kilkunastoletnich wyrostkach odżył w całej pełni patrjotyzm pokoleń poprzednich bojowników o Polskę niepodległą. Ruch rewolucyjny w roku 1905-tym, który objął były zabór rosyjski, wysunął na plan pierwszy w sferach robotniczych hasła międzynarodowe i to właśnie przepełniło żywioły gorąco patrjotyczne tych sfer obawą, że oto dzieje się coś, co może rozstrzygnąć na czas długi o losach kraju, a prawa niepodległościowe Polski nie zostaną przytem uwzględnione. Popłynęła więc młodzież robotnicza do szeregów, które tę walkę o niepodległość na pierwszem stawiały miejscu.

Minęło lat wiele, a jednak ów stan ekstazy, ów ogień ofiarny, które cechowały i przenikały cały Związek, sprawiają, że bodaj bez wyjątku dawni „kilińczycy" wspominają z rozrzewnieniem dzieje Związku. I to nietylko ci, którzy pozostali wierni hasłom i poglądom swoim ówczesnym, ale i ci, co w czasach późniejszych zerwali z wiernością poglądom demokratycznym w polityce, a ideałom świata pracy w sprawach społecznych.

* * *

Początki organizacji bardzo były skromne.

Powstała ona w końcu roku 1901 w Warszawie dzięki pracy paru studentów, należącym do ówczesnego konspiracyjnego Związku Młodzieży Polskiej, znanego w sferach wtajemniczonych pod nazwą „Zetu".

„Zet" była to organizacja tajna, działająca po wszystkich miastach Europy, gdzie polska młodzież akademicka tworzyła większe skupienia. Do czasów, w których Liga Narodowa i kierowana przez nią Narodowa Demokracja nie sprzeniewierzały się uznawanym poprzednio hasłom niepodległości i walki ze szkołą rosyjską, „Zet" pozostawał pod wpływami Ligi Narodowej, aczkolwiek formalnie zachowywał niezależność.

W zetknięciu towarzyskiem paru warszawskich „zetowców" poczęło urabiać kilku zgarniętych chłopców kilkunastoletnich, terminatorów rzemieślniczych, uczyć ich historji Polski; a że na terenie Warszawy dla konspiracyjnych kółek młodzieży rzemieślniczej trudno było wybrać właściwszego patrona nad Kilińskiego, więc też kult jego począł się szerzyć wśród nielicznych adeptów nowej organizacji, wskutek czego ruch ten w sferach robotniczych został wkrótce ochrzczony mianem „kilińszczyzny", a członkowie organizowanych tajnych kółek otrzymali popularną nazwę „kilińszczaków".

Bo pomimo konspiracji, a częściowo może wskutek małego jeszcze wyrobienia konspiracyjnego „kilińszczaków", przekonania polityczne młodzieży robotniczej musiały się ujawniać w sporach i dyskusjach politycznych na terenie warsztatu pracy.

Pierwsi „zetowcy", którzy przystąpili do tej pracy, niebardzo zdawali sobie sprawę ze środowiska, z którem się zbliżyli, z warunków pracy wśród niego, a także z celów i zakresu tej pracy; zresztą przyszłość miała dopiero zarysować wyraźniej te cele i ten zakres.

Więc też o niektórych z tych studentów bardziej bystrzy obserwatorzy z grona młodzieży robotniczej wyrażali się niekiedy z przekąsem:

— Przyszli do nas w rękawiczkach, byśmy im pomogli ich Polskę budować.

Opinja ta nie była słuszna; bezwątpienia, młodzież akademicka, pochodząc ze sfer nierobotniczych, niezawsze umiała utrafić w ton właściwy; jednakże przychodziła ona nie po pomoc w budowaniu specjalnie „jej" Polski, ale ze szczerą wiarą w potrzebę budowania demokratycznej, wspólnej Polski.

W początkach tej nowej pracy próbowano dróg różnych: paru inteligentniejszych z grona młodzieży robotniczej wysłano na kilka miesięcy do Krakowa, by przeszli kurs instruktorski w „Sokole" tamtejszym. Próba ta nie dała wyników: terenu szerszego do prowadzenia ćwiczeń gimnastycznych w ów-

czesnej Warszawie właściwie nie było, a wybrani instruktorzy należeli, jak się okazało, do gatunku ludzi, którzy szybko zniechęcają się do pracy politycznej i z organizacji wycofują.

Inną próbą było wprowadzenie członków warszawskiego „Iksu" (organizacja tajna młodzieży gimnazjalnej, podporządkowana „Zetowi") do pewnego warsztatu introligatorskiego na pracę w godzinach wieczornych; ta próba również nie dała spodziewanych wyników.

Od stycznia 1902 roku do połowy roku 1903 wydawano z wielkim mozołem na hektografie raz na miesiąc ubogie pod względem treści pisemko p. t. „Kiliński".

Zaprawieni do form organizacyjnych „kilińszczacy" poczynają odgrywać pewną rolę wśród słuchaczów istniejącego wówczas na gruncie Warszawy nielegalnego „Uniwersytetu Ludowego". Wykłady odbywały się tu w „kompletach" po 10—15 słuchaczów, coraz to w innem mieszkaniu; dużo więc pracy mieli „gospodarze" konpletowi z zawiadamianiem słuchaczów i prelegentów o terminach i miejscu wykładów, ze ściąganiem drobnych opłat od słuchaczów i t. p., a na takich gospodarzy coraz lepiej się nadawali „kilińszczacy".

Studenci „zetowcy" prowadzili na kółkach „kilińszczaków" (również składających się z 10—15 członków i zbierających się coraz to w innych mieszkaniach) pogadanki historyczne, społeczne, polityczne i inne. Poziom tych pogadanek zależał od wyrobienia samego prelegenta.

Obcując z młodzieżą robotniczą na stopie koleżeńskiej, „zetowcy" wprowadzili zwyczaj tytułowania się per „kolega", który to zwyczaj następnie zakorzenił się w niesocjalistycznych organizacjach politycznych byłej Kongresówki.

„Kilińszczacy" stopniowo poczynają przedsiebrać wystąpienia polityczne. W czasach owych garść skrajnych ugodowców wespół z administracją rosyjską rozpoczęła agitacje prorosyjską przy pomocy specjalnych przedstawień, dawanych w języku polskim, ale w duchu rosyjskim (nb. urządzanych w miejscu bardzo stosownem, bo w ujeżdżalni żandarmerskiej), przy pomocy zabaw ludowych oraz pisma ludowego „Oświata", kolportowanego przez policję po wsiach polskich. „Kilińszczacy" demonstrują na przedstawieniach, agitują przeciwko zaborcom, zdzierają szyldzik z redakcji „Oświaty" (przesłano go do Krakowa).

Dziś wydają się te wystąpienia rzeczą drobną; w owych jednak czasach, gdy wszystko jeszcze drżało przed knutem rosyjskim, takie fakty rozlegały się szeroko, budziły otuchę, podnosiły zgnębionego do ostateczności ducha.

* * *

W jesieni roku 1904 organizacja uległa całkowitemu przekształceniu.

„Kilińszczyzna" w swych dotychczasowych formach istnieć przestała; organizacja przybrała formy, wzorowane na „Zecie", ten ostatni zaś, zdając sobie sprawę z powagi rozpoczętej pracy, poczyna delegować do niej większą liczbę studentów i tworzy w swem łonie coraz liczniejszą „komisję robotniczą".

Bardziej wyrobione jednostki z grona młodzieży robotniczej zostały uroczyście przyjęte do utworzonego właśnie „Związku im. Jana Kilińskiego"; poczęli się oni zwać „kilińczykami". Każdy z „kilińczyków" zasadniczo kierował kółkiem organizacyjnem niższego stopnia, które zazwyczaj sam musiał koło siebie zgromadzić.

Z tych „kółkowiczów" wyrastali stopniowo kandydaci na „kilińczyków"; by zostać „kilińczykiem", trzeba było zaznaczyć się stosownemi zaletami charakteru oraz odpowiedniem wyrobieniem politycznem — „uświadomieniem". Warunki konspiracji i niezbędnej ostrożności sprawiały, że kandydat na „kilińczyka" długo bywał obserwowany przez wyznaczonych do tego „kilińczyków" z poza jego kółka i nieraz termin obserwacji bywał przedłużany, by zbyt pochopny awans na „kilińczyka" nie przypadł w udziale jednostce niedość tego zaszczytu godnej.

„Kilińczycy" sami tworzyli „dziesiątki", które oznaczano kolejnemi literami alfabetu; w chwili powstania Związku istniały tylko dwie dziesiątki — A i B, stopniowo liczba ich wzrasta do sześciu, a każda dziesiątka wraz z podległemi sobie kółkami obejmuje pewną dzielnicę Warszawy.

Każdy „kilińczyk" i każdy „kółkowiec" przybierał pseudonim, pod którym był znany w organizacji; w dość częstem jednak użyciu były i nazwiska rzeczywiste.

Dziesiętnicy i ich zastępcy tworzyli radę Związku. Rada była znana wszystkim „kilińczykom", którzy w razie potrzeby mogli przychodzić na jej zebrania. Pod tym względem Związek zasadniczo odstąpił od przykładów innych organizacyj konspiracyjnych, niewyłączając „Zetu", swego pierwowzoru; przyznać trzeba. że nie zaszedł ani jeden wypadek, któryby kazał żałować tego bardzo demokratycznego, ale niezgodnego z zasadami konspiracji, obyczaju.

Kilińczycy więc, wbrew zasadom konspiracji, znali się wszyscy między sobą; natomiast „kółkowicze" zasadniczo znali tylko członków swego kółka. Przy przyjęciu do kółka każdy członek organizacji składał uroczystą przysięgę, co do zachowania tajemnicy oraz co do spełniania obowiązków organizacji.

Prócz rady, która zbierała się zwykle co drugą niedzielę, Związek posiadał inne jeszcze organy, jak komisja wychowawcza, która pilnowała wykonania uchwał rady i w nagłych wypadkach posiadała bardzo szerokie pełnomocnictwa, jak komisja kasowa (drobne opłaty członków opędzały wszystkie wydatki organizacji), jak komisja bibljoteczna, komisja redakcyjna, wreszcie komisja „naukowa": było to zgromadzenie „zetowców", pracujących w Związku, czyli wobec Związku zgromadzenie prelegentów kółkowych, wobec zaś „Zetu" — jego komisja robotnicza.

Pozatem przy Związku funkcjonowało mnóstwo organów i komisyj, powoływanych specjalnie do załatwiania spraw poszczególnych.

Uchwały rady były spisywane w małej, niepozornej książeczce protokółów, gdzie uchwały, podlegające późniejszemu wykonaniu, podkreślano ołówkiem czerwonym i pamiętano o nich nieustannie, aż jako załatwione były powtórnie podkreślone ołówkiem niebieskim.

Rada swój demokratyzm posuwała aż do tego, że bardzo wiele spraw oddawała do omówienia i przegłosowania na dziesiątki, posiłkując się w ten sposób swego rodzaju plebiscytem kilińczyków.

Obowiązkiem każdego członka organizacji (nietylko więc kilińczyka) było regularnie uczęszczać na zebrania, opłacać składki, wysłuchać na Uniwersytecie Ludowym, o którym była mowa poprzednio, szeregu wykładów, przeczytać conajmniej jedną książkę pouczającą na miesiąc, wstrzy-

mać się od alkoholu (nakazywała to uchwała z kwietnia 1905 r., stojąca na ideowem podłożu walki z rosyjskim monopolem państwowym), kolportować „bibułę“, współpracować z całą organizacją, bez wahania spełniać rozporządzenia organizacyjne. Słowa „rozkaz organizacyjny“, wypowiedziane przez zwierzchnika organizacyjnego, nigdy nie spotkały się ze sprzeciwem, choć rozkazy te często dotyczyły spraw niebezpiecznych.

Protokóły dwukrotnie tylko zaznaczają fakty usunięcia z kółka opieszałych członków; jako przyczyny wskazano: „małe zainteresowanie życiem organizacji, niepunktualne przychodzenie na zebrania oraz niekarność organizacyjna“. Usunięty składał przysięgę na dochowanie tajemnicy co do spraw, z któremi się zetknął w organizacji.

Liczba kilińczyków z grona robociarzy nie dosięgła setki; całość organizacji w czasach największego rozwoju liczebnego sięgała głów tysiąca. Niewielka to liczba, ale przy swej zwartości i sprężystości Związek im. Jana Kilińskiego był dużą siłą polityczną w społeczeństwie warszawskiem, któremu wróg nie pozwalał się organizować w sposób legalny, które więc dzięki temu żyło politycznie tylko w owych nielicznych, ale aktywnych i zdecydowanych organizacjach konspiracyjnych.

Z chwilą powstania Związku, obok męskich powstawać poczęły kółka kobiece; do pracy w nich stanęły członkinie „Zetu“ warszawskiego.

Gdy po pewnym czasie okazała się potrzeba przyjmowania najbardziej wyrobionych członkiń kółek do Związku, niespodzianie powstała opozycja: kilińczycy-robociarze, zasadniczo uznając równouprawnienie kobiet, w dużej swej części przeciwstawili się temu równouprawnieniu w politycznej pracy konspiracyjnej. Udało się „zetowcom“ obalić wnioski opozycji w tej sprawie, ostatecznie jednak powstał równoległy kobiecy Związek im. Jana Kilińskiego i oba związki utrzymywały kontakt przez swe odrębne rady, rządzące się wspólnym statutem.

* * *

Związek istnienie swe opierał głównie na współpracy studentów; kilkakrotne próby przeszczepienia go na prowincję pozostawały bez wyników, gdyż brak tam było żywiołu studenckiego.

Związek grupował młodzież robotniczą; starszych kierowano do Narodowego Związku Robotniczego, który był organizacją szerszą, ale mniej sprawną i mniej bojową. Poza Warszawą Narodowy Związek Robotniczy obejmował również i młodzież.

Kościec Związku, zwłaszcza w początkach, stanowili studenci — „zetowcy“. Oni początkowo zajmują wszystkie stanowiska w Związku, nie dążą jednakże do zatrzymania ich na stałe: ich dumą i dążeniem jest wyrobienie kilińczyków-robociarzy na samodzielnych kierowników organizacji.

Początkowo natrafia to na pewne trudności; każda dziesiątka musi mieć studenta-opiekuna, który na zebraniach dziesiątki jest doradcą „starszego“ dziesiątki, doradcą technicznym i instruktorem w sztuce prowadzenia zebrań.

Wkrótce jednakże kierownicy dziesiątek opanowują tę sztukę i wyrabiają się na dzielnych administratorów. Nie upłynął rok nawet od powstania Związku, a już stanowiska naczelne objęli robotnicy. Przewodnictwo rady i sekretarjat wychodzą z rąk studentów, z ich zresztą wolą; całą niemal administrację Związku obejmują kilińczycy-robociarze, studenci zaś w zmniejszonej już liczbie wchodzą do rady, jako kierownicy poszczególnych działów roboty Związku, pozostają jeszcze w komisji wykonawczej, redakcyjnej i t. p.

Duże zadowolenie moralne dawała „zetowcom“ robota w Związku pod względem możności obserwowania szybkiego rozwoju umysłowego i wyrabiania się życiowego kilińczyków-niestudentów; rezultaty pod tym względem bywały nieraz istotnie niezwykłe, wprost nieoczekiwane.

Stopniowo studenci, pracujący w Związku, podzielili się na dwie grupy: na administratorów oraz na wykładowców, czyli „korepetytorów“, jak się utarło mówić. Ci studenci-administratorzy, stopniowo zresztą ustępujący swe czynności kilińczykom-niestudentom, rekrutowali się z grona wykładowców; wielu „zetowców“ warszawskich przeszło przez tę roboty: jedni dostosowali się do niej i pozostali, inni byli tylko ptakami przelotnemi. Stopniowo poczynają wśród studentów-kilińczyków organizować się studenci politechniki, wypierając coraz bardziej studentów uniwersytetu; zasadniczo bowiem politechnicy, jako przyszli pracownicy przemysłowi, bardziej się uważali za powołanych do zbliżenia ze środowiskiem robotniczem.

W miarę rozwoju organizacji stosunki konspiracyjne poczęły się komplikować: na zebraniach, w których uczestniczyli pierwej sami „zetowcy“, poczęli się ukazywać nowi kierownicy Związku z grona robociarzy i wówczas „zetowcy“ musieli pamiętać, że o „Zecie“ mówić nie wolno; robociarze znów spostrzegli, że jedni z wykładowców jakoś łatwo dostają się do Związku, inni zaś (jeszcze nienależący do „Zetu“) nic o Związku nie wiedzą. Życie ówczesne polityczne uczyło konspiracji, więc też tego rodzaju fakty nie zbijały z tropu nikogo.

„Zetowcy“-kilińczycy poczęli wprędce odbijać nieco od ogółu „zetowców“. Zbliżenie się ze środowiskiem robotniczem, poznanie jego warunków bytu wywołało wśród studentów-kilińczyków z konieczności zainteresowanie się zagadnieniami społecznemi większe, niż u innych „zetowców“; a dodać trzeba, że „zetowcom“-kilińczykom wypadło być w dużym stopniu współtwórcami programu politycznego i ekonomicznego przyszłego ruchu narodowo-robotniczego; zadanie to bezwątpienia przerastało ich siły, ale w częściowem spełnieniu tego zadania danem im było zorjentować się dopiero po latach, z perspektywy już historycznej.

Ale nietylko pod względem poglądów społecznych poczęli „zetowcy“-kilińczycy odbijać od tła ogólnego „Zetu“: praca wśród robotników wymagała obowiązkowości i punktualności; kto nie mógł się do tego dociągnąć, opuszczał szeregi, — kto pozostawał, ten musiał dostosować się do wymagań i do tempa pracy.

Pozatem studenci musieli świecić przykładem robotnikom. Zasadą było, że student nie powinien dać się wyprzedzać innym kilińczykom nietylko w robocie organizacyjnej, ale i we wszelkich czynnościach czy wystąpieniach, narażających bezpośrednio na wpadnięcie w łapy organów rządowych, czy też na inne jakiekolwiek niebezpieczeństwo. A tego rodzaju zasady nie mogły nie odbić się na ogólnym nastroju panującym wśród „zetowców“, należących do Związku im. Kilińskiego.

Po pewnym czasie „komisja robotnicza“ poczęła stanowić coś w rodzaju zwartego grona: pomimo takich czy innych tarć wewnętrznych, sporów, ambicyjek, nazewnątrz występowało ono zazwyczaj jednolicie i ogół „zetowców“ nabrał przeświadczenia, które słowami dałoby się wyrazić w ten mniejwięcej sposób: „z robociarzami lepiej nie zadzierać“.

A świecić przykładem w Związku nie było łatwo, wobec ogólnego jakgdyby niewygasającego zapału i powszechnego rwania się do najniebezpieczniejszych choćby wyczynów. Więc też ani na chwilę działalności Związku nie przerywały wymyślane przez Moskali różne stany wyjątkowe, stany wojenne, stany oblężenia, jakie kolejno ogłaszano w Warszawie. Uliczne rewizje, zamykanie domów, strzelanie salwami po mieście — wszystko to nie mogło przeszkodzić odbywaniu się zebrań konspiracyjnych, przenoszenia broni i „bibuły".

Ileż to razy w ciągu paru nocnych godzin, wśród szalejącej na ulicach samowoli żołdackiej, trzeba było zmobilizować oddział większy lub mniejszy do takiej lub innej roboty politycznej; ściągnięty z łóżka członek organizacji wędrował budzić innych i wczesnym rankiem oddziałek zdecydowanych zuchów już czekał w umówionem miejscu.

* * *

Zwarta i sprężysta organizacja młodzieży robotniczej musiała odegrać rolę poważną w życiu politycznem Warszawy, zwłaszcza w czasach tak gorących i ciekawych, jak rok 1905, kiedy każdy, kto żył w Warszawie, stawał się politykiem.

Związek im. Kilińskiego organizuje strajki polityczne, aczkolwiek przeciwstawia się zdecydowanie strajkom politycznym, organizowanym przez partje socjalistyczne celem dowiedzenia, że Polska jest tylko jednym z odcinków ogólnej rewolucji rosyjskiej. Takie przeciwstawianie się było dowodem często odwagi nietylko cywilnej.

Poza wzmożoną agitacją w środowisku robotniczem, Związek nie omijał sposobności organizowania wystąpień politycznych, jak usuwanie flag rosyjskich, które musiano wywieszać na domach w galówki, jak usuwanie i zamazywanie szyldów rosyjskich i t. p. A taka była potęga Związku, że w dniu 3 maja 1905 r. zmusiła Warszawę do urządzenia święta narodowego, z pozamykaniem nawet sklepów; nie pomogły nakazy policji.

Niesłychanie żywo wziął się Związek do roboty, gdy przyszło okazać pomoc młodzieży szkolnej w jej walce o szkołę polską. Strajk szkolny w Warszawie wiele ma do zawdzięczenia młodzieży robotniczej ze Związku im. Kilińskiego.

Związek podążył z pomocą, dając ze swej strony podtrzymanie siłą fizyczną, gdzie zachodziła tego potrzeba. Pomagając w niedopuszczaniu łamistrajków do gmachów szkolnych, w wywieraniu nacisku na tych rodziców, którzy dzieci do szkół rosyjskich posyłali, kilińczycy nie cofali się przed zamachami zbrojnemi na najgorliwszych rusyfikatorów.

Niektóre szkoły rewolucyjnie przeszły na język wykładowy polski; socjaliści pragnęli szkoły te rozpędzić, bo chcieli w imię haseł rewolucyjnych rosyjskich strajku jaknajszerszego. Oparli się im kilińczycy, rozstawili warty i szkoły polskie obronili.

Dziatwę ze szkół początkowych kilińczycy przeprowadzali hurtem ze szkół rosyjskich do tych szkół, w których nauczyciele-polacy zdecydowali się uczyć po polsku; nieraz trzeba było zagrozić nauczycielowi-moskalowi rewolwerem.

Szkoły zawodowe stały się naturalnym terenem agitacji Związku. Organizowano je, przeprowadzano w nich strajk szkolny, a jednocześnie wykorzystywano zapał młodzieży i wciągano lepsze jednostki do roboty politycznej.

Nie było zresztą w owych czasach gorętszej roboty narodowej, do której nie przyczyniliby się kilińczycy.

Roboty te były różnorodne i absorbujące; więc też poczęło brakować sił do prowadzenia pracy wewnętrznej w organizacji, zwłaszcza gdy latem 1905 roku studenci rozjechali się z Warszawy na wakacje, — zresztą wielu z nich, wobec zamknięcia szkół, wyjechało zupełnie.

I oto zamiast zebrań drobnych kółek, potrzeba zmusiła do odbywania wielkich wieców po lasach podmiejskich. Co niedziela, co święto, pomimo stanu oblężenia, masy młodzieży wyruszały do lasu; dążyli tam nietylko członkowie organizacji, ale całe masy osób postronnych, spragnionych polityki.

Odbywało się więc zebranie polityczne; a po przemówieniach, po śpiewach, rozpoczynały się tańce i zabawy, trwające aż do wieczora. Trudno było nadążyć z obejmowaniem i organizowaniem nowych kółek, które się tworzyły odrazu w lesie, jak grzyby po deszczu.

A gdy chmary młodzieży w szeregach wracały wieczorem ze śpiewami do miasta, wówczas patrole i policjanci skwapliwie ustępowali im z drogi, skręcając w boczne ulice.

Gdzie drwa rąbią, tam wiory lecą. Trafiali więc kilińczycy do więzień carskich, na zesłanie, do katorgi; padali też bezpośrednio, w krwawym boju ulicznym.

Tak poległ zecer Władysław Brzeziński, który w ośmnastu latach życia osiągnął najwyższe godności w Związku; chłopiec wybitnie inteligentny, niesłychanie ofiarny, rokujący wielkie nadzieje, — padł od kuli żołdackiej w krwawej potyczce z patrolem.

Chowała go brać związkowa na Powązkach w dniu 3 maja 1906 r. Ale w tym dniu już Warszawa nie świętowała, a niedawne nadzieje już przysypywać począł popiół goryczy.

Od bratobójczej kuli socjalistycznej poległ kilińczyk Walenty Baranowski, którego zamordowali przeciwnicy polityczni za to tylko, że nie mogli go zwyciężyć, nie mogli mu sprostać na polu agitacji politycznej.

Były to najgłówniejsze nazwiska z grona poległych kilińczyków.

* * *

Związek nie mógł się obyć bez swego organu prasowego. „Kiliński" przestał być organem Związku, gdyż uczyniono go organem powstającego właśnie Narodowego Związku Robotniczego i drukowano licho na ręcznej drukarence; wychodził on rzadko i kiepsko, budząc narzekania i skargi w gronie młodzieży na brak „bibuły". I oto rada Związku postanawia wydawać pismo własne; decyzja ta spotkała się z uśmiechem lekceważenia sfer, wydających „Kilińskiego".

Wzięto się do pracy: tytuł wybrano dość nieoczekiwany — „Czołem" — od pozdrowienia, utartego w Związku; pisemko wydawano na numeografie. Po wielu trudnościach zdobyto się wreszcie na własny numeograf.

„Czołem" wychodziło raz na miesiąc; treść jego była dość uboga, ale zawierało ono sporo korespondencyj z fabryk i nawet wierszyki. pisane przez robociarzy. Dzięki temu odrazu pozyskało ono sobie poczytność i „nakład" trzeba było ciągle zwiększać, czyli przepisywać każdą stronę parokrotnie i coraz więcej czasu poświęcać na odbijanie. Odbywało się

to przeważnie po nocach, a odbijanie jednego numeru zabierało czasu coraz więcej, rozciągając się stopniowo na okres trzytygodniowy.

Była to więc praca mocno uciążliwa, której tylko wysoce ideowa młodzież mogła się podjąć.

Powodzenie „Czołem“ wykazało, że Związek stać na wydawanie własnego czasopisma. Oddano więc Związkowi redakcję „Kilińskiego“ (może zbyt szumnie powiedziane, skoro cała redakcja mieściła się w kieszeniach paru członków komisji redakcyjnej); „Kiliński“ począł wychodzić z niesłychaną dawniej punktualnością i w wytwornej szacie.

Bo też druk jego odbywał się obecnie w drukarniach zwykłych, których właścicieli trzeba było nibyto gwałtem zmuszać do zgody na drukowanie, obstawiając drukarnię ludźmi uzbrojonymi w rewolwery. W rzeczywistości drukarze brali za to niezgorsze pieniądze.

Tylko korekty pilnie trzeba było przeglądać. I tak razu pewnego zecer-pepesowiec przemycił „osła białego“ zamiast „orła białego“.

* * *

Z jesienią 1906 roku nie stało „zetowców“ w Warszawie. Znikła nadzieja otwarcia polskiej politechniki, a władze politechniczne oddały dokumenty niewycofane władzom wojskowym, celem powołania strajkujących studentów do służby wojskowej. Studenci-kilińczycy musieli więc wyjechać dla dokończenia studjów; wyjechali poza granice państwa rosyjskiego, gdyż w walce o szkołę polską nie chcieli wstępować do szkół rosyjskich nawet w Rosji.

Wyjazd studentów był kresem istnienia Związku im. Jana Kilińskiego.

Organizacja w całości wstąpiła do Narodowego Związku Robotniczego, a kilińczycy wkrótce siłą rzeczy wysunęli się na kierownicze stanowiska w Narodowym Związku Robotniczym.

Michał Bobrzyński

1849 — 1935

Znakomitym historykiem i mężem stanu był Bobrzyński. Urodził się w Krakowie w r. 1849. Ukończywszy tam uniwersytet, uzupełnia swe studja zagranicą, głównie w Wiedniu.

Rzadko się trafia, aby człowiek tak wybitny, jakim był zmarły, był tak niedokładnie zrozumiany. Nie dlatego, że różne o nim wydawano sądy, chociaż wszyscy naogół uznawali go, i to zarówno polityczni przyjaciele, jak i wrogowie, za osobistość bardzo wybitną, za indywidualność silną. Zrozumiany był niedokładnie dlatego, że głośne jego dzieło, które mu zjednało rozgłos w szerokich kołach publiczności, jak i w gronie historyków, nie było dostatecznie zgłębione. Uchwycono z niego jedną przeważnie myśl: że upadek państwa polskiego przypisywał brakowi u nas silnego rządu. Taki był istotnie jego pogląd, ale nie uwzględniono tego, że uważał on, iż w wieku XVI, za ostatnich Jagiellonów, przed Polską dwie otwierały się drogi, prócz tej, po której ona niestety poszła: albo ta, na którą weszły inne państwa na Zachodzie kontynentu europejskiego, zaprowadzające absolutyzm, albo ta, po której poszła Anglja, w kierunku wolnościowym. Wszak robi zarzuty, zwłaszcza Zygmuntowi Augustowi, że nie wyzyskał reformatorskiego ruchu szlachty, nie oparł się na nim, co mógł zrobić, i że nie pokierował państwem w ten sposób, aby przy utrzymaniu Sejmu, zwiększyć władzę wykonawczą i wogóle swój wpływ, wziąwszy w karby magnatów świeckich i duchownych. Nie był wcale doktrynerem absolutyzmu. Oczywiście wolał oświecony absolutyzm na owe czasy od anarchji magnackiej.

Głównym punktem jego widzenia było to, że Polska upadła, gdyż nie zdołała przeobrazić się w państwo nowożytne. Pojęcie państwa nowożytnego obszerniejszem jest od absolutnego.

Możnaby tu jednak iść dalej i stwierdzić, że przeistoczeniu się temu na państwo nowożytne, przeszkodziła słabość polityczna mieszczaństwa, co już dowodził jeden z bardzo dawnych historyków — Karol Hofman i co jest niezawodnie słusznem. Bobrzyński oczywiście doskonale zdawał sobie sprawę z ujemnych skutków słabości u nas mieszczaństwa, ale nie podkreślił dość silnie związku przyczynowego pomiędzy tą niemocą, a słabością władzy królewskiej. Słabość mieszczaństwa wynikała z szeregu przyczyn, o których nie mogę się tu rozwodzić. Świetnie przedstawił autor „Dziejów Polski w zarysie“ wiek XV w Polsce, nad którym prowadził gruntowne studja samodzielne; ten właśnie okres uważał słusznie za najświetniejszy pod względem politycznym. Wiek XVI był okresem rozwoju kulturalnego i gospodarczego, ale pod względem politycznym i socjalnym oznaczał już te strony ujemne, które w wieku XVII doprowadziły Rzeczpospolitą do upadku państwowego i do zawieruchy socjalnej, oraz do wielkiego ucisku ludu wiejskiego.

Bobrzyński miał wielkie zrozumienie dla zagadnień ustrojowo-socjalnych, dla ustosunkowania się do siebie rozmaitych stanów. Sprawy te występowały w jego „Dziejach“ ze szczególną wyrazistością.

Pogląd jego na przyczynę upadku Rzeczypospolitej z powodu złego ustroju poddawano krytyce, zarówno w publicystyce, jak i w kołach historyków i nawet tak wybitny badacz jak Balzer bronił do pewnego stopnia tego ustroju, starając się wykazać, że nie on zgubił dawne nasze państwo, ponieważ przy tym samym ustroju było ono jeszcze świetne nietylko za Jagiellonów, ale za Batorego, a nawet jeszcze za Władysława IV.

Argument ten jednak jest zupełnie nieprzekonywujący, gdyż w wieku XVI, w pierwszej połowie XVII — W. Ks. Moskiewskie nie było cesarstwem rosyjskiem Piotra Wielkiego i Katarzyny II, a Prusy ówczesne Prusami Fryderyka II. Przy słabszych sąsiadach ustrój ten mógł jeszcze jako tako się ostać, przy silnych zaś nie. A oprócz tego jest rzeczą rozumiejącą się sama przez się, że im jakiś zły ustrój trwa dłużej, tem prędzej prowadzi do zguby.

Otóż słabą, najsłabszą wadą dawnego naszego ustroju było to, że właściwie nie mieliśmy prawdziwej władzy wykonawczej, skarbu wystarczającego i wojska stałego i dostatecznie licznego, co wykazał właśnie Bobrzyński. Balzer twierdził, że i inne państwa miały w tym względzie pewne braki. Tak, ale nie w tym stopniu. Następnie nasze liberum veto także nas zgubiło. W stosunkach zaś socjalnych bezwzględna władza szlachty nad włościanami od 1573 roku.

Oczywiście, gdyby nasi sąsiedzi nie chcieli nas rozebrać, to dawne państwo polskie nie upadłoby, ale twierdzenie to nie zbija argumentacji Bobrzyńskiego, gdyż zawsze jedne państwa starają rozwijać się kosztem innych i zagarniać ich terytorja, ale ten fakt, że to się właśnie stało z Polską i doprowadziło do rozbioru dowodzi, że ustrój jej wadliwy umożliwił to.

Ratunek w końcu wieku XVIII nie udał się, bo przyszedł za późno; ale sprawił to, że dzięki Sejmowi czteroletniemu, powstaniu kościuszkowskiemu i całemu ruchowi umysłowemu w końcu tego wieku, upadek państwa zastał naród w stanie budzącego się odrodzenia i stwierdził jego żywotność, która wśród najcięższych warunków w XIX w., pozwoliła mu walczyć o swe istnienie, doprowadziła

wreszcie do niepodległości, na tle wielkiej wojny, która stworzyła dla niej pomyślne warunki zewnętrzne.

Zarzucano Bobrzyńskiemu, że był jakoby pesymistą w sprawie naszej przyszłości.

A geograf Antoni Sujkowski w swej „Geografji Polski“ posunął się tak daleko, że twierdził, wbrew prawdzie, że Bobrzyński przypisał upadek Polski — warunkom geograficznym, co miało wykazywać, że jakby zgóry, przypuszczał konieczność tego upadku. Otóż nie tylko, że on tego nigdy nie twierdził, ale już w końcowych uwagach w wydaniu II swego dzieła dowodził właśnie, że pesymistą nie jest, gdyż upadek naszego państwa przypisał wadom ustroju, a nie warunkom geograficznym. Historycy warszawscy, z Korzonem i Smoleńskim na czele, atakowali mocno całą szkołę krakowską wogóle, a Bobrzyńskiego w szczególności za jego ocenę naszej przeszłości. Korzon postawił na jednym ze zjazdów historycznych wniosek, aby on udzielił całej tej szkole nagany. Wówczas Balzer, jako młody historyk, wystąpił z obroną Bobrzyńskiego i całej szkoły i zjazd uznał się za niekompetentnego do rozstrzygania sprawy poglądów historycznych większością głosów.

Ci sami krytycy Bobrzyńskiego: Korzon, w dziele trzytomowem p. t. „Dola i niedola Jana Sobieskiego“, a Smoleński w pracy mniejszej p. t. „Wiara w życiu społeczeństwa polskiego w okresie jezuickim“ — przedstawili fakty składające sę na tak ujemny obraz, pierwszy, drugiej połowy wieku XVII, a drugi tejże części tegoż wieku i pierwszej połowy następnego — że obraz, jaki odtworzyli niczem nie ustępował temu, co pisał Bobrzyński. Różnica była tylko w tem, że Bobrzyński, jako umysł niezwykle przenikliwy i śmiały, ujemne strony naszych ówczesnych stosunków z faktów tych uogólnił i wskazał na ich przyczyny; tamci zaś nie zdobyli się ani na jedno, ani na drugie. Bobrzyński był nietylko historykiem, ale jeszcze flozofem historji, a raczej socjologiem. Uważał on słusznie, że doniosłość dziejów polega nietylko na gromadzeniu faktów i ich powiązaniu przyczynowem, lecz także i na uogólnieniach, to znaczy wnioskach ogólnych, które nam służyć powinny za podstawę do nauk społeczno-politycznych i polityki praktycznej.

Kiedy w Europie Zachodniej, w drugiej połowie wieku ubiegłego powstał nowy, świeży prąd w dziejopisarstwie, pod wpływem znakomitego dzieła angielskiego uczonego Benckla p. t. „Historja cywilizacji w Anglji“, to nasi bardzo wybitni i zasłużeni historycy, jak wspomniany wyżej Korzon i Pawiński, odnieśli się do tego kierunku niechętnie — odrzucając pojęcie praw historycznych, na wzór przyrodniczych. Jeden Bobrzyński uznał doniosłość tego nowego kierunku, co zaznaczył w specjalnej niedużej rozprawie p. t. „W imię prawdy dziejowej. Rzecz o zadaniu dzisiejszej historji i dzisiejszem jej stanowisku“. Na skutek tego pomiędzy nim, a historykiem Smolką, wywiązała się ciekawa polemika naukowa o zadaniach dziejopisarstwa. Smolka wypowiedział się w pracy p. t. „Słowo o historji“. Nie odrzucał on poszukiwania prawidłowości w zjawiskach historycznych, ale sądził, że to powinno być przedmiotem innej, niż historja, nauki — właściwie socjologji; historja zaś powinna zajmować się przedewszystkiem faktami indywidualnemi, w całej ich rozciągłości. W końcu obydwaj zgodzili się na to, co oczywiście nie oznacza cofnięcia się Bobrzyńskiego. Podział tych nauk jest wskazany. I tak jest istotnie. Ale podział nie oznacza przepaści między temi naukami. Istotnie: hstoryk, przedstawiając fakty konkretne, indywidualne jednocześnie stwierdza, że one się powtarzają w formach zasadniczych w rozmaitych miejscach i czasach w warunkach podobnych; socjolog zaś zajmuje się przedewszystkiem tem, co się powtarza, przytem lepiej tu nazywać, jak sądzę, te uogólnienie prawidłowościami, w odróżnieniu od praw przyrodniczych, które są od nich o wiele ściślejsze i łatwiejsze do ujęcia.

Muszę tu jeszcze nadmienić, że Bobrzyński napisał szereg cennych monografij historycznych, opartych na bardzo ściśłej metodzie i gruntownych źródłowych.

* * *

Polityczna działalność Bobrzyńskiego, jako polskiego męża stanu w dawnej Austrji, a zwłaszcza namiestnika b. Galicji — mniej nas interesuje. Nie był to wprawdzie konserwatysta w utartem dziś znaczeniu tego słowa. Był konserwatystą na miarę zachodnio-europejską, daleki od społecznego krótkowidztwa i zaściankowego wstecznictwa. Tem niemniej reprezentował inny, obcy nam świat pojęć. W praktycznej działalności politycznej zajmował stanowisko, którego bezstronna ocena jest niemożliwa, jeżeli się jej nie ujmie w wielkiej perspektywie historycznych wydarzeń i przeobrażeń życia polskiego na przestrzeni conajmniej ostatniego 50-lecia. To zadanie przekracza jednak ramy i charakter naszego pisma. Jego zaś dorobek jako historyka jest tej miary, że starczy za bezsporny tytuł tej zasługi i uznania, jakie winny o nim zachować dorastające już w Odrodzonej Ojczyźnie młode pokolenie Polaków. Cześć Jego pamięci!

JÓZEF DUBIEL

Żywotność ideowa czy chaos myśli?

Był czas, kiedym z niekłamaną radością brał do ręki każdy nowy tygodnik i miesięcznik, kiedym z zadowoleniem czytał każdy artykuł, w którym młodzi umieszczali, jak mi się wtedy wydawało, to co czują i myślą. W każdym z nich widziałem odparcie zarzutu, który nam jakże często rzucano w twarz, a więc: że młode polskie pokolenie jest bezideowe, że myśleć nie umie o sprawach wielkich... Wszyscy przecież znamy te stare piosenki.

Dziś, kiedy staję przed kioskiem gazetowym i patrzę na tą masę wszelakich „młodzieżowych“ pism o najdziwaczniejszych tytułach nie doznaję już uczucia tej dawnej mojej radości. Ogarnia mnie raczej zakłopotanie, nie radość. Oto — nie umiem dokładnie odpowiedzieć, co się w tem wszystkiem kryje: żywotność ideowa czy chaos myśli.

Weźmy do ręki pierwsze lepsze z tych pism. Jakie głębokie ujęcie w każdym artykule, co za głębia myśli? Aż czuć pot tych młodych głów, co godzinami wgryzały się myślą w te problemy. Więc — cieszyć się? Jakoś nie umiem. Bo wydaje mi się, że w ogromnej większości wypadków mozoł tych młodych autorów nie w to kładziono, by jaknajgłębiej i wszechstronnie zrozumieć sprawy, o których piszą. Trudzono się raczej, by sprawę ująć tak, jak jej dotąd nikt nie ujmował. Zabłysnąć oryginalnością — wiele znaczy dla tych młodych ludzi. Jakaś paskudna ambicja stawiania wszystkiego na opak. I nie to byłoby jeszcze najgorsze! Ponoć młodzi od stworzenia świata niczem innem się nie zajmują, jak tem właśnie. Złem jest to:

że nie można się jakoś doszukać w tem wszystkiem usprawiedliwiającej, głębokiej wiary, młodym zwykle właściwej, że świat postawiony do góry nogami stoi — właśnie na nogach. A bez tej wiary wszystko to tylko marny szych, blichtr, dekadenckie rozmiłowanie się w paradoksach. Pod pozorem skrajnego realizmu, wychodzenie z rzeczywistości i wiązanie wszystkiego z rzeczywistością, gnieździ się tu najobskurniejsze „bujanie“, bezżyciowa, anemiczna abstrakcja. Zapatrzeni w realizm, jako ideał, co krok przewracają się o ugory naszej rzeczywistości. Kogo nie stać na paradoksy myślowe wygłupia się dziwacznością stylu. Nad artykułem pierwszego lepszego półgłówka trzeba ślęczeć długo, by zrozumieć, co mają znaczyć te przeróżne „poziomy“ i „piony“ ideowe, „rzutowania torowości“ itd. i by wreszcie przekonać się, że kochany autorzyna nic właściwie nie miał nam do powiedzenia.

Już nie zakłopotanie, ale rzetelna troska ogarnia, gdy z nad stolika z gazetami starać się objąć okiem obraz życia naszego młodego pokolenia. Ile tych pisemek na stoliku, tyle w tem życiu małych grupek „filozofów“, wszystko „nicujących“ i na swój sposób „rzeczywistość“ przetrawiających. A wszystko to, powiadam, w mozole wielkim, który wrażenie tu i ówdzie wywrzeć może, iż w tych młodych głowach pożyteczna jakaś dokonuje się praca. Powie ktoś: takie są nieodmienne prawa młodości. Zgoda. Aleć, mamy własne państwo, a w tem państwie młodzież ma także inne społeczne zadania, niż „wyszumieć się“. Gdzież w Polsce jest ruch młodzieżowy dość silny, by dać odpowiedź, czego w Polsce jutrzejszej chce nie grupka taka, lub inna młodych intelektualistów, ale czego chce Młoda Polska? Nie jest to dziwne, że niema dotąd takiego ruchu. Wielu sądziło, że będzie nim, głośny „Legjon Młodych“. Ale ten przestał już istnieć, pod demoralizującą „opieką“ sanacji. Nie jest to dziwnem powiadam. Paradoksy, choćby były najbardziej oryginalne i błyskotliwe, nie mogą być podstawą dla takiego ruchu.

Gdy to wszystko widzę jakoś z ufnością patrzę na to, co my robimy. Z radością przeglądam skromne tytuły „Demokraty“ i „Pochodni“. Nie! Nie byliśmy „oryginalni“, kiedyśmy na początku naszego programu politycznego wypisali słowo: „Demokracja“ i kiedyśmy w naszym programie racjonalno-gospodarczym powiedzieli, że nie chcemy świata budować od nowa, jeno że chcemy zło usunąć z tego, który jest. Ten brak „oryginalności“ napełnia mnie ufnością.

Spowiadałem się kiedyś z tych myśli jednemu z kolegów. „Dobrze“ powiada kolega „nie podoba wam się rozproszkowanie myśli w wielkiej liczbie pism, więc wydajecie nowe pismo. Widzicie zło w przeroście organizacyj młodzieżowych, więc tworzycie nowy związek. Jak to wszystko pogodzić?“ „Trzeba mieć głęboką wiarę w to, że to, co się robi jest słusznem“ — bronię się. „No tak, ale tą wiarę mają redaktorzy tych wszystkich pism, o których mówisz, i każda organizacja święcie wierzy, iż ona jedna reprezentuje słuszność i prawdę“. „Trzeba mieć nietylko głęboką wiarę w słuszność sprawy, ale to, w co się wierzy musi mieć także rozumowe i historyczne uzasadnienie. Aby to stwierdzić niema innej pono rady, jak odwołać się do Wszechwładnej Pani wszystkiego co powstaje, by żyć. Do Przyszłości“.

LIDKE T.

Co ważniejsze?

(Artykuł dyskusyjny).

W związku z artykułem p. t.: „Narodowo-Społeczny Ruch Młodych — Cele grup akademickich“, zamieszczonym w n-rze 7 „Demokraty“, jeden z członków grupy akademickiej naszego ruchu, czynny działacz Z. M. P. „Jedność“, nadsyła nam poniższe uwagi:

Redakcja.

Nowo utworzone grupy akademickie witano serdecznie na zjazdach wojewódzkich Z. M. P. „Jedność“. Fakt ten jest zastanawiający. Dotychczas, chociaż przy poszczególnych uniwersytetach powstawały różne koła i grupy młodzieży akademickiej, które gromadziły akademików o przekonaniach demokratycznych, to jednak nie wzbudzały one większego zachwytu wśród członków Z. M. P. „Jedność“ i sympatyków naszego ruchu. Gdzie leży przyczyna tej obojętności „niewdzięcznego ludu“?

Przyczyny tej w każdym wypadku nie należy szukać wśród młodych robotników czy chłopów, gdyż ci chętnie chcieliby zbliżyć się do inteligencji. Kroku tego jednak dokonać nie mogli robotnicy tak samo, jak mężczyzna pierwszy nie może podać ręki kobiecie. Tymczasem koła akademickie dotychczas ograniczały się do uchwalania statutów, programów i do urządzania wieczorków dyskusyjnych. Referatom wygłaszanym na zebraniach nic zarzucić nie można, gdyż referenci starannie i zazwyczaj inteligentnie opracowują swoje referaty, ale można postawić zarzut, że mówi się o masie robotniczej, wyzyskiwanej, głodnej nie przed nią, ale w gronie kilkudziesięciu słuchaczów, akademików.

Przez tego rodzaju dysputy akademickie w najlepszym razie można stworzyć typ „intelektualisty polskiego w najlepszem tego słowa znaczeniu“. Każdy jednak mimowoli zapyta się, jaki jest pożytek dla społeczeństwa z takiego człowieka, który wzniosłe i zdrowe poglądy rozszerza w szczupłem gronie. Faktycznie żadna. Jeżeli zapytamy się, co ważniejsze, czy praca samokształceniowa grup akademickich, czy też ścisła współpraca akademików z Z. M. P. „Jedność“, to niewątpliwie większość podkreśli znaczenie drugiej tezy dla społeczeństwa. Ścisła bowiem współpraca młodzieży akademickiej z młodzieżą robotniczą i rolniczą daje duże korzyści dla obu stron, będzie to zobopólna wymiana wiadomości. Pierwsza strona bezsprzecznie da wiele nowego młodym robotnikom, lecz i od robotników i chłopów wiele się nauczymy. Za tą współpracą przemawia tyle faktów, tyle obopólnych korzyści, że nie zamierzam dłużej o tej kwestji pisać, chciałbym jednak dojść na zakończenie tego artykułu dyskusyjnego do logicznego wniosku.

Skoro uznaje się, że współpraca i to ścisła współpraca, co podkreślam, młodzieży akademickiej z Z. M. P. „Jedność“ jest głównym celem grup akademickich w takim wypadku, należy grupy akademickie złączyć z temi związkiem, trzeba je złączyć z terenem pracy, a nie należy zakładać kół akademickich przy poszczególnych uniwersytetach, jak było dotychczas. Grupa akademicka na Śląsku w ten sposób postąpiła. Tu właśnie leży owa przyczyna serdecznego ustosunkowania się członków Z. M. P. „Jedność“ do akademików.

Dla wyjaśnienia podaję, że artykuł ten napisałem w związku z ukazaniem się artykułu kol. Antoniego Bergmana p. t. „Cele grup akademickich“.

ANTONI SPANDOWSKI

Jeszcze w sprawie reformy pisowni

Dokończenie

A gdzież się podzieje kultura narodu i jej historja, bo przecież pisownia zawiera w sobie całą historję języka i kultury. Takie reformy zgruntu zmieniłyby pisownię polską. Podobne reformy możnaby zaprowadzić w strojach narodowych, obyczajach i zwyczajach, w sztuce stosowanej i zaprowadzić wygodniejsze, nowocześniejsze dla ułatwienia życia. Wyrzucić więc możnaby zdobne chaty polskich górali i pobudować im amerykańskie domki dla wygody jego własnej i cudzoziemców, aby ci nie mieli już żadnych powodów do zarzucania Polakom braku prostoty. Ostatecznie można dla ich wygody przyjąć esperanto. Uczymy się w szkołach średnich nawet kultury języka obcych narodów, więc jeśli wielu nie wie, że „sanacja“ pochodzi od łacińskiego wyrazu *sano*, co znaczy (o ironjo!) oczyszczam, uzdrawiam, to naco dziecko polskie, które w szkole ludowej uczy się tylko po polsku mówić, ma wiedzieć, że *gorze (goże)* ma coś wspólnego z gorejącym krzakiem. Niech się nie „męczy“ 3—5 godzin tygodniowo nad językiem polskim. Na co to dziecku? Niech nic nie myśli. Niech pisze tak, jak mówi. Byle szybciej, byle prędzej, tempo amerykańskie. Oszczędzony czas zużyć na coś innego, choćby na wychowanie „państwowo-twórcze“. Polacy sami nigdy nic dobrego nie stworzą. Dalej brać pełnemi rękami od pobratymców Czechów.

Nie tak szybko. Takiej reformy nie można przeprowadzić przy zielonym stoliku, na to trzeba długiego czasu. Nie jest także konserwatyzmem, ani zwolennictwem „chińszczyzny“ trwać przy pewnych zasadach, wytworzonych przez dziesiątki pokoleń, To jest pewne poczucie narodowości, to — jeden ze środków przeciw niepotrzebnym wpływom kultur nam obcych, niepolskich.

Zresztą ten projekt zmiany pisowni nie znajduje takiego oddźwięku w społeczeństwie. Wprost przeciwnie — niema go, albo jest bardzo mały. A od tych, którym miał być rzekomo najwięcej potrzebny, mianowicie od pracowników fizycznych, słyszałem zdania wprost przeciwne. Słyszałem mianowicie od robotników, że ci, którzy nie chcą się uczyć poprawnie pisać po polsku, ci nigdy się nie nauczą. Inni, którzy chcą, nauczą się. Zaniknie przytem piękna rywalizacja, kto lepiej, kto poprawniej będzie pisał. Zaniknie dążność do kształcenia się na kulturze polskiej. Język, pismo i historja polska — to podstawowe nauki w polskiej szkole. I nie jest pożądanem skracanie ilości godzin tych przedmiotów.

Oto głos ogółu.

Jeszcze jeden argument przytacza p. Sienisławski. Mianowicie wskutek usunięcia podwójnych spółgłosek oszczędzałoby się na pracy, na papierze, na cenie książki itp. — A czy autor zdaje sobie sprawę z tego, że wtedy trzebaby zmienić maszyny do pisania, linotypy, czcionki, że trzebaby kształcić na nowo zecerów, linotypistów, że dziecko, wykształcone na tej nowej pisowni, nie rozumiałoby naszych dotychczasowych potęg duchowych, wieszczów, Reymonta, Prusa, Sienkiewicza, Kasprowicza i tylu innych, nie mówiąc już o naszych poetach i pisarzach z przed rozbiorów. Trzebaby dla nich opracować nowe teksty dotychczasowych wydań. A czy współcześni rozumieliby nowe pismo, czy umieliby pisać w nowej pisowni? Trzebaby dla nich stworzyć kadry nowych korektorów, którzyby poprawiali błędy, gdyby np. autor napisał *brzuch* przez *rz*. Gdyby chodziło znowu o oszczędność, to możnaby wogóle znieść spółgłoskę *h*, a zaprowadzić prydech grecki. Zaoszczędziłoby się znowu jakiś procent. Książki polskie są za drogie, ale to nie wina nieszczęśliwych podwójnych spółgłosek, to wina wydawców.

Zaprowadzić pewną sanację trzeba w pisowni polskiej, ale nie w podwójnych spółgłoskach, ani dźwięku „u“. Reformy przeprowadzić wszędzie można, ale nie wszędzie potrzeba.

Hasłem reformatorów naszej pisowni powinno być: „Zaprowadzić reformę w pisowni tam, gdzie jej trzeba, a nie tam, gdzie można“.

Od Redakcji i Administracji

Z powodu wakacyj, jak również konieczności przesunięcia terminu ukazywania się „Demokraty“ na pierwszego każdego miesiąca — złączyliśmy numer sierpniowy z wrześniowym, powiększając objętość numeru do 24 stron. Następny numer, 11 zkolei otrzymają Szanowni Czytelnicy w dniu 1-go października br.

Przy tej okazji gorąco apelujemy do wszystkich czytelników o regularne wpłacanie prenumeraty oraz o jednanie nam nowych abonentów. Ze szczególną prośbą zwracamy się do działaczy „Jedności“ aby nie zaniedbywali obowiązku rozszerzania zasięgu naszego pisma. „Demokratę“ można zaabonować w każdym urzędzie pocztowym lub też wprost w administracji „Demokraty“.

W drugim wypadku prenumeratę należy przekazać zapomocą t. zw. przekazów (niebieskiego koloru) rozrachunkowych (nr. kartoteki 14). Przekazy rozrachunkowe nabyć można w każdym urzędzie pocztowym w cenie 1 grosz za egzemplarz. Wysyłający prenumeratę przekazami rozrachunkowemi nie ponosi z tego tytułu żadnych dodatkowych opłat.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA.

Sprostowanie

W numerze 8 nastąpiła pomyłka w tytule artykułu kol. Romana Tunkiewicza, który to artykuł umieszczono pod tytułem „Polska klasa **pracująca** — a powinno być: Polska klasa **robotnicza.**“ **Red.**

W A R U N K I   P R E N U M E R A T Y :

Miesięcznie 40 groszy. Kwartalnie 1 złoty. Prenumeratę wpłacać można zapomocą przekazów obrachunkowych (numer kartoteki 14). Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe.

Pismo ukazuje się stale pierwszego każdego miesiąca.

Adres Redakcji i Administracji: Toruń. ul. Legjonów 29. Oddział w Poznaniu, ul. Wrocławska 14 m. 4.
Wydawca: Zarząd Główny Związku Młodzieży Pracującej „Jedność“ — Redaktor: Zygmunt Felczak, Grudziądz, ul. Wybickiego 49 m. 4
Drukiem Drukarni Robotniczej Sp. z o. p. Toruń, Legjonów 29.